

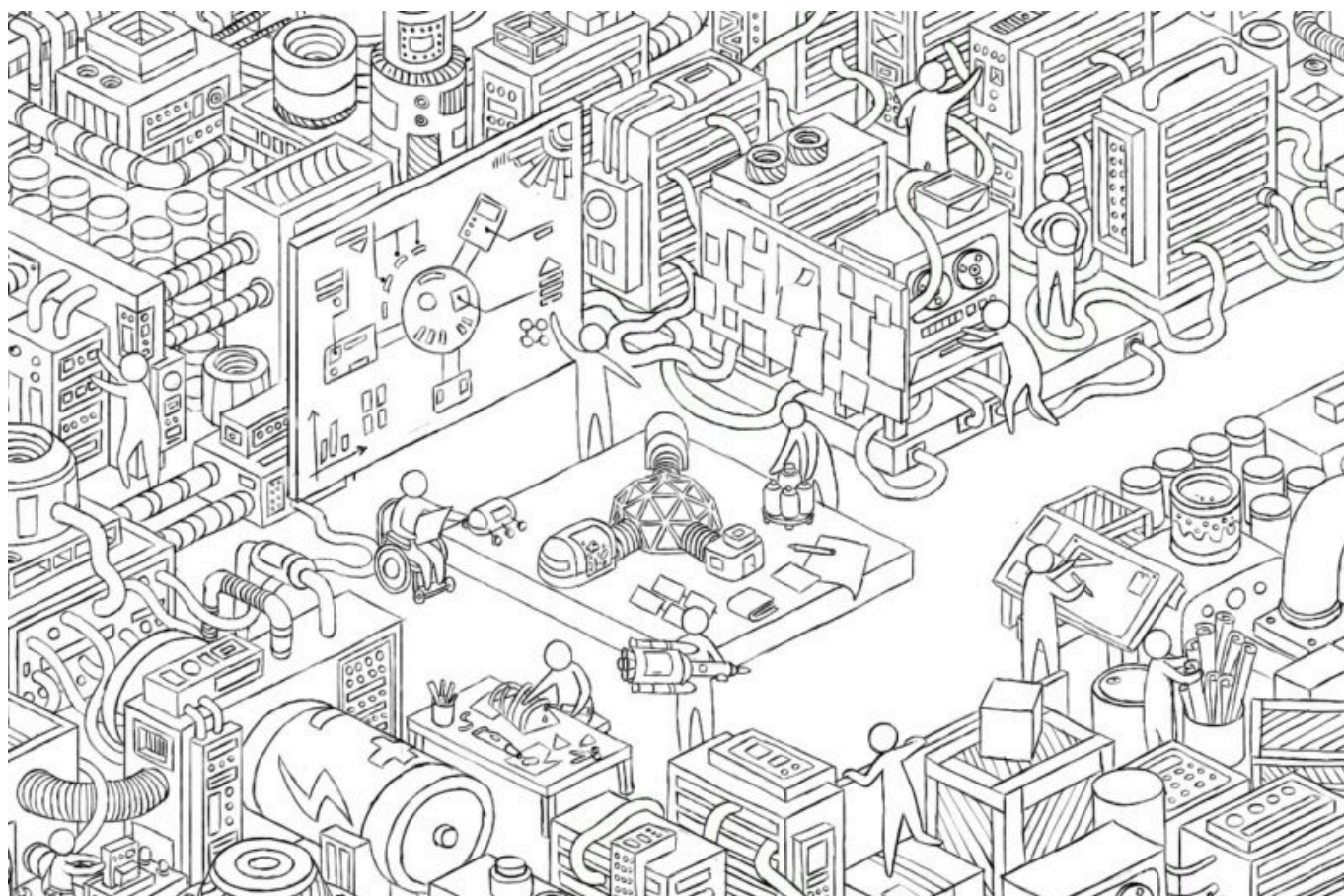
# **Michał Cholewa "Sabotaż funkcji celu"**

# Michał Cholewa "Sabotaż funkcji celu"

*Od pierwszego do dwudziestego czwartego grudnia trwał Whamageddon - czyli adwentowa gra w nieusłyszenie (oryginalnej wersji) piosenki „Last Christmas”. Tym razem Michał Cholewa nie przetrwał próby i po dziewięciu dniach musiał skapitulować przed głosem George’a Michaela.*

*Ale w sekrecie przed wszystkimi i pośród mroków grudniowych przedświtów autor ukończył opowiadanie - a raczej jego alternatywną wersję, w której głównemu bohaterowi udaje się przetrwać do końca nie mówiąc wierszem i nie rozwijając swojego nowoodkrytego zainteresowania sztuką. Tym samym nauka zostaje uratowana.*

**Milej lektury!**



Rysunek Gabriela Palicka

1.

W swojej długiej już na niemal cztery dekady karierze naukowca przeżyłem wiele zaskakujących historii. Miałem też całkiem sporo chwil zwątpienia w siebie i innych, a czasem nawet - co może Was zszokować - w system. Czułem rozpacz, kiedy usiłowałem wytłumaczyć najpierw recenzentom, a później komisji, o czym właściwie jest moja rozprawa doktorska. Byłem przekonany, że nadciąga

zagłada, gdy przechodziłem rozpaczliwe doświadczenia z pełzającą po bezdrożach administracyjnych szlaków Ojczyzny informatyzacją Uczelni. Wieszczyłem apokalipsę w dniu wprowadzenia listy rezerwacji terminów na salę seminaryjną.

W sumie w tej ostatniej sprawie to nawet nie zmieniłem zdania.

W każdym razie wątpiłem we własne zmysły, gdy na Uczelni pojawiła się sprawa tajemniczych pisków nad podwieszanym sufitem – Banaś był przekonany, że Morse'em wypiskiwane są jego równania – znikających ciastek, czy rozszczelnienia powojennego systemu klimatyzacji w schronie pod budynkiem.

Przyznać jednak muszę, że dzisiejsza sytuacja jest dla mnie całkowicie i zupełnie nowa. Teraz, kiedy siedzę skulony pomiędzy huczącymi agregatami w hali wydziału chemii, rozpaczliwie lepię z kawałków sera zatyczki do uszu, podczas gdy przede mną wzrasta miniaturowa, najeżona antenami i linowymi kolejkami stacja nadawcza, z której wpatrują się we mnie dziesiątki małych, wyraźnie złośliwych oczek – wiem, że jest to chwila mojej największej próby.

A także zapewne ostatnia w moim naukowym życiu.

Wielu z was zapewne zastanawia się, skąd się tu wzięłem, skąd mam ser i co robi tu razem ze mną miniaturowe miasto pełne wrogich mi istot. Odpowiedź nie jest prosta. Tak bowiem jak przewracająca się kostka domina powoduje czasem ułożenie się gigantycznego obrazu, tak i w moim wypadku do tego momentu doprowadziły wydarzenia, które zrazu nie wyglądały ani odrobinę groźnie i dopiero z czasem, na podobieństwo śniegowej kuli dotarły... cóż, tutaj.

W moim wypadku pierwszą upadającą kostką domina był pan Zenon, nasz pracownik administracyjny.

2.

Pan Zenon był kadrowym Uczelni już w czasach, kiedy sam dopiero zaczynałem w niej pracę, a zatem kiedy sama Uczelnia, i otaczająca ją rzeczywistość, były zgoła inne. Cieszyliśmy się wtedy głośno i bardzo ostentacyjnie wolnością. Niezbyt Obecnie Zaprzyjaźnione Ościenne Mocarstwo było niezwykle wręcz zaprzyjaźnione, a nauka – a przynajmniej niektóre jej działy – zyskiwały wielkie dotacje. Nasz wydział korzystał na tym tylko trochę, lecz pracujący z nami w jednym budynku chemicy byli tak szanowani, że otrzymali nie tylko nową halę produkcyjną dla swoich eksperymentów, ale również umundurowanych wartowników, a ich dyrektor – mam nadzieję, że jego obecna cela pozwala mu na spokój i wygodę – dostał nawet medal. Za co dokładnie, było tajemnicą, lecz zapewne miało to wiele wspólnego z pojawiającymi się co i raz na parkingu Uczelni ciężarówkami, eskortowanymi przez transportery opancerzone i żołnierzy w pasiastych koszulkach.

Pan Zenon pracował na uniwersalnym stanowisku: trochę sekretarz, trochę kadrowy, a czasem nawet behapowiec. Szybko zorientował się, jak działa prawdziwy ośrodek naukowy, i że podległe mu sprawy personalne załatwiane są tutaj na drodze stopniowego zasiedzenia, urlopy – o ile już komuś chciało się je brać i przerywać naukową pracę – realizują się właściwie bez nadzoru, a jeśli na korytarzu nie wałały się nieizolowane kable, Uczelnia właściwie napędza się sama. Szybko uznał również, że nie będzie nas zbyt kłopotłał tonami formalnej dokumentacji, którą jako zakład pracy powinniśmy byli wypełniać, a która, sądząc po braku reakcji przez długie lata, zupełnie nikogo nie interesowała.

Był osobą cichą, niekłopotliwą i wszyscy szybko go polubili. Sympatię wzbudzała zarówno jego usłużność, gotowość do przepisywania naszych artykułów na maszynie przed wysłaniem ich do czasopism, jego hodowla białych myszek, a także fakt, że bywał na wszystkich seminariach – nawet przy najbardziej niszowych tematach, kiedy był ich jedynym słuchaczem. Ceniliśmy sobie też jego kontakty, dzięki którym zdobywał kredę, całe rzyby papieru (ku utrapieniu naszego etatowego reprezentanta służb, monitorującego powielacz, bo Dziekan, wtedy jeszcze prosty adiunkt, non stop zużywał go na druk jakichś ulotek), kawę, a czasem nawet i cukier. Słowem – wszystko, czego Uczelnia potrzebowała.

Pan Zenon wiedział, co jest nam potrzebne, a co zupełnie nie. Był kadrowym doskonałym.

Dlatego, oczywiście, kiedy aresztowano go pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Małej Azjatyckiej Republiki Autorytarnej, wszyscy byliśmy całkowicie zszokowani.

3.

Aresztowanie naszego kadrowego miało dwa następstwa. Pierwszym, naturalnie, były długie i nudne przesłuchania, prowadzone przez poważnych i zasmuconych ludzi, którym – jak zapewniali – chodziło jedynie o bezpieczeństwo nasze i Ojczyzny. Przepytywani byli Dziekan i Prodziekan, a nawet sam Dyrektor. Zadawano tak cudaczne pytania jak: do jakich danych pan Zenek miał dostęp – jakby nie wiadomo, że do wszystkich, – czy kontaktował się z kimś jeszcze, co w jego pokoju robi puste terrarium, wielka, zamaskowana w starym wazonie radiostacja i obraz przedstawiający uśmiechniętego Azjatę (który zresztą wkrótce potem zniknął w niewyjaśnionych okolicznościach). Dociekano, czy ktoś z nas z nim nie współpracował oraz, wreszcie, podstępnie: czy nikt nie nabrał podejrzeń na temat kadrowca, zwłaszcza, że z perspektywy czasu istotnie, nawet ja musiałem to przyznać, jego akcent faktycznie brzmiał obco, a rysy twarzy nie pasowały do swojskiego imienia.

Dyrektor odpierał te ataki niewzruszenie, niczym stojąca naprzeciw fali przyboju skała. Nie wiedział skąd terrarium i radiostacja, ale jakby miał kwestionować każde nietypowe zjawisko na Uczelni – a wyposażeniu pokoju Pana Zenona było doprawdy daleko do szczytu listy zjawisk niecodziennych – musiałyby zapewne nie robić nic, tylko składać wyjaśnienia. Nie wnikał w jego wygląd, bo ostatecznie dlaczego miałyby? Każdy może sobie wyglądać jak chce i z powodu nadmiernego zwracania uwagi na czyjś wygląd już niejedyn dyrektor miał problemy. A w ogóle, to poważni panowie naprawdę nie chcą, żeby z Uczelni sływały również raporty dotyczące wyglądu czy odzienia pracującego tu kwiatu inteligencji kraju. Pan Zenon został zresztą przecież zweryfikowany przez odpowiednie służby, kiedy się zatrudnił – a to, że były to służby wyraźnie nie cieszące się wielkim szacunkiem poważnych i zasmuconych ludzi, którzy zadawali te pytania, zupełnie nie jest jego problemem.

I tak z każdą chwilą nasi goście stawali się coraz bardziej zasmuceni, aż w końcu całkiem sobie poszli i zostawili nas w spokoju, lecz bez kadrowego, behapowca i sekretarza. Fala aresztowań służb bezpieczeństwa zebrała wśród pracowników Wydziału żniwo zaiste przerażające.

I tu możemy płynnie przejść do kolejnego następstwa aresztowania pana Zenona – nadejścia Pani Kasi, nowej kadrowej.

4.

Reorganizacja administracyjna – każdy to wie – wprowadza coś na kształt wiatru zmian. Powoli przepływa on przez całą instytucję, wymiata stare porządki, wprowadza nowe, sygnalizując ambicje nowego personelu. Powoli dociera się nowe ze starym, wzajemnie poznawane są dziwactwa i nawyki, strony dowiadują się o swoich ulubionych przysmakach, porach, kiedy składane podania mają największe szanse na dotarcie na biurko Dyrektora z odpowiednią adnotacją, i o całej reszcie. Strony poznają też swój język, uzyskując tym samym możliwość uniknięcia nieporozumień i problemów.

My również poznaliśmy.

Otóż przez pierwsze tygodnie pobytu na Uczelni, w miarę jak Pani Kasia zapoznawała się ze stanem naszej administracji, jej językiem były głównie okrzyki przerażenia i szloch, sporadycznie dobiegający zza góry papierów. Później jedno i drugie zniknęło i Pani Kasia w ogóle przestała się odzywać, a nawet wychodzić z zamkniętego na cztery spusty biura, na którym powieszono za to informację, że kontakt z działem kadr przebiega od teraz wyłącznie za pomocą poczty elektronicznej. Wreszcie faza przygotowawcza nowej władzy zakończyła się i wspomniany już wiatr zmian uderzył w nas z istic huraganową siłą.

Zacząło się od przymusowych urlopów. Okazało się, że aby zaspokoić wilczy głód porządku i poprawności regulaminowej, który czuła Pani Kasia, niemal każdy pracownik Uczelni musiałby zniknąć z budynku i wrócić pod koniec przyszłego roku – tu wyjątkiem byli studenci i młodzi asystenci, którzy albo nie mieli czasu na zgromadzenie dni urlopowych, albo, jak to dzieci, wykorzystywali je do robienia sobie wolnego. W czasie długich negocjacji z Dyrektorem i Dziekanem osiągnięto zaledwie, że pod ostrzałem działu kadr mieliśmy wycofywać się na urlop na raty, a część pracowników będzie mogła brać wolne, ale całkiem hobbystycznie przychodzić do pracy.

Tego dnia, na nadzwyczajnym zebraniu kierowników zespołów, w boju poległ sam Dziekan, Szef Projektu Badawczo-Rozwojowego, Doktorant z Teorii Kolejek i trójka adiunktów, którzy co prawda byli absolutnie niezbędni dla prawidłowego działania Uczelni, ale ani ich specjalizacji, ani zakresu obowiązków nikt jakoś nie potrafił sobie przypomnieć. Na naszym piętrze – pomijając studentów – na stanowiskach pozostaliśmy w zasadzie tylko: ja, Prodziekan oraz Banaś, a i to tylko dlatego, że należało koniecznie dokończyć raport naszego, pozbawionego teraz Szefa, projektu. Wróciliśmy do pustych pokoi niepewnie i cicho, nie do końca wiedząc co się właściwie wydarzyło – nagle sami tam, gdzie jeszcze niedawno toczył się bój o postęp nauki.

A okazało się, że jest to dopiero początek.

Rozpędzona niczym lwica na polowaniu Pani Kasia rzuciła się do dalszych porządków – zaczynając od długiego i skomplikowanego śledztwa dotyczącego odmiennych wytycznych przydziału uczelnianego papieru toaletowego na różnych piętrach i uporządkowania statusu naszych publikacji, które – jak się okazało – wszystkie uzyskały nieznanym nam dalekowschodnich współautorów. Myśleliśmy, że to ją na chwilę zajmie, ale się myliliśmy.

Czwartego dnia po pogromie urlopowym obwieszczono nam, że wszyscy mamy udać się na okresowe badania lekarskie.

5.

Wiem, co możecie myśleć: jeżeli badania lekarskie doprowadziły mnie do Wydziału Chemii, sera w uszach i miniaturowej budowli, to zapewne ujawniły one jakąś pożerającą mnie straszliwą chorobę,

sprowadzającą szaleństwo i halucynacje, które niniejszym opisuję. Nic z tych rzeczy, jak sądzę, choć wręcz chciałbym, aby tak było. Szaleństwo byłoby wszak niebezpieczne jedynie dla mnie, natomiast okrutna rzeczywistość stanowi zagrożenie dla całego świata, jaki znamy.

Ale do rzeczy.

Istotny – jakże istotny! – dla tej części historii jest fakt, iż w moim mieście odbyły się niedawno wybory, a nowy Prezydent zdecydował, by natychmiast zaznaczyć swą obecność na – cokolwiek zastałym – panteonie polityki lokalnej. Jego wybór padł na przepisy ruchu drogowego i zachęcanie mieszkańców do ekologicznych form transportu. Większość cywilizowanych metropolii zdążyła do tego celu utartym i zupełnie nieciekawym szlakiem rozbudowy komunikacji zbiorowej, kładek dla pieszych, dróg dla rowerów i temu podobnych rozwiązań. Nasz władarz jednak – zdając sobie zapewne sprawę z cokolwiek dziurawego budżetu miasta – zdecydował się na inne podejście do problemu. Podejście nowatorskie i przepełnione typową dla naszych krajan fantazją. Postanowił mianowicie skłonić mieszczan do ekologii poprzez uniemożliwienie im podążenia jakkolwiek inną ścieżką. Zaproponowanym przez niego rozwiązaniem były słupki.

Przez jakiś czas po wyborach polityk ów gromadził swoich najbardziej czepialskich i skrupulatnych ludzi, a kiedy był już gotów, wyposażył ich w grubą książkę przepisów dotyczących rozmieszczenia miejsc parkingowych, mapę zagospodarowania przestrzennego miasta oraz cyrkle. Przy użyciu tych akcesoriów jego wyselekcjonowana specgrupa szybko stworzyła nową, lepszą wersję mapy, na której wyraźnie oznaczono kręgami strefę wokół każdego zakrętu, przejścia dla pieszych, znaku drogowego, skrzyżowania, rozjazdu, hydrantu i wszystkich innych obiektów, wokół których parkować nie wolno. Następnie ze swoją nową, lepszą mapą prezydent udał się do firmy słupkującej. Daleko nie miał, bo akurat – zupełnym przypadkiem – taką właśnie firmę posiadał jego szwagier. Ich spotkanie miało miejsce w piątek po południu, a już w poniedziałek rano pierwsi ludzie szwagra-biznesmena wyruszyli w miasto wyposażeni w miarki, kopię ubermapy oraz, naturalnie, słupki – którymi zaczęli pracownicy zastawiać absolutnie wszystkie miejsca parkingowe, znajdujące się wokół oznaczonych cyrklem kręgów samochodowej śmierci. Czyli, zważywszy na to, że nasze miasto nie jest bardzo nowe i ma masę wąskich i krętych ulic – po prostu większość miejsc.

Początkowo nikt nie zauważył nadciągającej katastrofy, ale z czasem, kiedy fala słupków przelewała się przez kolejne dzielnice, mieszkańcy zaczęli – najpierw pojedynczo, a później tłumnie – zwać się do urzędu miasta z coraz mniej uprzejmymi pytaniami. Urząd miasta przez jakiś czas odpowiadał twardo, że chodzi o ekologię i mieszkańcy mogą się wszak przesiąść do komunikacji miejskiej. Później jednak, kiedy coraz częściej wypominano mu, że komunikacja miejska składa się z sześciu autobusów, na które niestrudzenie polują wytrawni łowcy i niemal całkowicie już je wytrzebili, magistrat przemyślał sprawę i wystosował kolejny komunikat. Chodziło, rzecz jasna – mówił on – o swoisty obywatelski bunt przeciwko niemądrym przepisom rozmieszczania parkingów. Nasze miasto miało być demonstracją na żywym cielem, jak bardzo przepisy owe czynią nieznośnym życie zwykłych ludzi. Tu z kolei co bardziej uporczywi mieszkańcy zwrócili uwagę, że to oni są tym żywym ciałem i to ich życie staje się nieznośne, o czym już wiedzą i w związku z tym należałoby urzędowy bunt skończyć. Magistrat na to odpowiedział pośpiesznie, że umowy z firmą słupkująca już są podpisane, kary umowne – absolutnie destrukcyjne dla budżetu, zwłaszcza że żeby pokryć koszty słupkowania już sprzedano dwa z naszych sześciu autobusów – a poza tym sekretariat jest czynny do szesnastej, a jest już dwie po, więc sprawa zostanie rozpatrzona po tym, jak prezydent wróci z urlopu.

Słupki tymczasem rosły dalej – sprawnie, energicznie i nadzwyczaj kosztownie.

Po tym krótkim wyjaśnieniu, mam nadzieję, że w pełni zrozumiecie, co mam na myśli, kiedy powiem, że szpital, w którym mieliśmy dokonywać badań lekarskich, znajdował się w szczególnie źle skomunikowanej dzielnicy miasta, w dodatku pełnej krótkich i – nie licząc wszechobecnych

ekologicznych słupków - bardzo urokliwych uliczek.

Problem wymagał więc rozwiązania. Ale, na szczęście, byliśmy naukowcami.

6.

Było jasne, że do szpitala nie jechał żaden autobus. Jakby się nad tym zastanowić, miało to głęboki sens - w jedną stronę obywatel miał być wieziony karetką naszej doskonale dofinansowanej służby zdrowia, wracać natomiast powinien piechotą, naładowany w szpitalnych salach zdrowiem i energią.

Jedynymi dostępnymi opcjami były zatem samochody albo marsz przez wczesnozimową pluchę. Były oczywiście jeszcze rowery i hulajnogi, ale oba te rozwiązania, jako godzące wprost w profesorskie ego, większość naszej kadry odrzuciła ze wstrętem. Samochody, na które się zdecydowaliśmy, stawały zaś naprzeciwko problemu słupkozy, szczególnie, że wszyscy dostaliśmy skierowania na te same trzy dni. Po długiej naradzie wpadliśmy na rozwiązanie.

Codziennie, o trzeciej w nocy, wyselekcjonowany student udawał się, samochodem, z termosem kawy i kanapkami, pod szpital. Zajmował tam jedyne miejsce parkingowe i był naszą czujką. O dziewiątej na Uczelni zbierała się pierwsza kilkusobowa grupa, która następnie, wspólnym samochodem, jechała pod szpital, gdzie zajmowała miejsce zwolnione uprzednio przez studenta, który wracał do domu. Później cała grupa miała przejść badania, wrócić do auta, poczekać, aż zjawi się samochód z kolejnej godziny i zwolnić miejsce następnej grupie. Pomysł był prosty i genialny. My uzyskaliśmy pewność dotarcia do szpitala, prezydent miasta - przykład, że słupki nikomu nie przeszkadzają, a Pani Kasia - nasze wyniki badań. Student nie zyskiwał nic poza kawą, ale nam, starszej kadrze naukowej, nie zdawało się to - naturalnie - dużym problemem.

Tak więc feralnego dnia badań pojechałem razem z Adiunktem z Informatyki i Panią Bibliotekarką do szpitala. Przyznam, byłem na równi poirytowany, jak i zatroskany. Poirytowany, ponieważ była to strata czasu na zupełnie niepotrzebne nikomu badania. Zatroskany, gdyż było to moje - mimo ciągłego i niezwykle natrętnego nalegania mej małżonki - pierwsze od ćwierćwiecza badanie, a to znaczyło, że mogło coś wykazać. To z kolei znaczyłoby, że wspomniana małżonka ma rację w naszej kłótni, i to pomimo rażącego wręcz braku profesury. Nie chciałem nawet myśleć, do czego by to mogło doprowadzić.

Tak więc, siedziałem - zależnie od tego, która myśl w mej głowie akurat dominowała - ponury albo zaniepokojony, i zupełnie nie zwracałem uwagi na wymieniane na przednich siedzeniach coraz miłsze i weselsze słowa przełamujące lody, które z siłą arktycznej kry miały wkrótce uderzyć w mój własny świat.

7.

Szpital dostosował się do rzeczywistości badań ze sprawnością istic matematyczną. Ktoś w ich księgowości bardzo szybko zorientował się, że po pierwsze, Fundusz Wszechdrowia płaci im za badania od osoby, po drugie zaś, zapisy o przebiegu obowiązkowych badań są stosunkowo podatne na... powiedzmy, że kreatywność. A w naszej Ojczyźnie, przy potędze i rozsądku Funduszu,

kreatywność była cechą dla szpitali ewolucyjnie krytyczną.

Zdecydowano, że maksymalizacja zysków jednostki zdrowia, mająca podreperować budżet – i, na przykład, pozwolić zapłacić któremuś z pracowników – jest problemem czysto optymalizacyjnym. Zależy bezpośrednio od tego jak, w maksymalnym tempie, da się wykonywać absolutne minimum wymaganych badań. I, muszę z szacunkiem przyznać, osiągnięto w tym niemały sukces.

Kiedy tylko zdałem kwit do niewielkiego okienka, skierowano mnie na przesuwający się w tempie fabrycznej taśmy ruchomy chodnik.

„Dzień dobry!” informował wymalowany olejną farbą napis ścianie przede mną. „Właśnie przechodzisz badania medyczne, zgodne z prawem pracy. Naciśnij zielony przycisk, kiedy będziesz go mijał”. Istotnie, zobaczyłem, że chodnik zbliża mnie do sterczącego z podłogi słupka, na którym znajdował się wielki zielony guzik. Nacisnąłem go, oczywiście, za co zostałem nagrodzony kolejnym napisem: „Gratulacje, badanie wzroku, test widzenia barw oraz koordynacji wzrokowo ruchowej zostały zakończone pomyślnie!”. Nie zdążyłem się jednak należycie ucieszyć z własnego zdrowia, bo taśmociąg już powiódł mnie ku kolejnym napisom: „Jeśli starasz się o licencję łowiecką, wskaż dziką, a potem naciśnij zielony guzik, jeśli myślisz, że miałś rację”, głosił jeden, potem: „Podskocz i uderz dłonią w ścianę, celem zbadania zdolności do pracy na wysokościach” oraz: „Gratulacje! Skoro tu jesteś, jesteś wystarczająco zdrowy, aby otrzymać wojskową kategorię A”.

Nasz szpital zdecydowanie nacierał na świat badań okresowych szerokim frontem. Przedostatnim punktem, do którego powiódł mnie taśmociąg, był wywiad środowiskowy („Napisz pierwsze 19 liczb ciągu Fibonacciego jeżeli chcesz, żeby lekarz przeanalizował dodatkowe okoliczności, które mogą wpłynąć na ocenę twojego zdrowia”) oraz – naturalnie – spotkanie z lekarzem.

Przepisy jasno wspominały, że lekarz musi zobaczyć pacjenta przed wystawieniem opinii i było to wymagane, którego nie dało się zastąpić guzikami, ale i z tym pomysłowość tutejszych ekspertów poradziła sobie doskonale. Z cichym szumem taśmociąg przesunął się przez pokój, gdzie na jednej ścianie, zamiast napisów, znajdowało się małe okienko, za którym widziałem skupioną twarz lekarza, bacznie mnie obserwującego. Jego pełne powagi oczy – wsparte raportem z naciskanych przeze mnie guzików – najwyraźniej bez trudu pozwoliły mu pozytywnie ocenić moje zdrowie, ponieważ już chwilę później taśmociąg dowiózł mnie do końca korytarza, gdzie mogłem odebrać wysuwający się ze ściany druczek, opatrzony wszystkimi niezbędnymi pieczętkami, których Pani Kasia tak pożądała.

Szczerze mówiąc z powodu pozytywnego rezultatu drobiazgowego badania mojego stanu zdrowia opuściłem budynek i popełniłem tragiczny, jak się okazało, błąd – zrezygnowałem z powrotu do samochodu. Zamiast tego wróciłem do pracy piechotą.

Naładowany zdrowiem i energią, a jakże.

Nieświadomy nadchodzącej katastrofy, którą właśnie sprowadzałem na Uczelnię, a może i Ojczyznę.

8.

Zadowolony z życia powróciłem do pracy i szybko zapomniałem o trudach i znojach spełniania paniokasiowych wymagań. Przyszło mi to o tyle łatwo, że pracy miałem aż nadto – jak wspominałem, zbliżał się czas rocznego sprawozdania, a Szefa Projektu Badawczego nie było, bo siedział na urlopowym wygnaniu. Cała więc praca, co do której w cichości ducha liczyłem, że on ją wykona,



spadała na mnie, Prodziekana i Banasia - czyli w praktyce tylko na mnie i Prodziekana, bo Banaś, poza byciem geniuszem, był również całkowicie niezdolny do jakichkolwiek uporządkowanych myśli, a zresztą zajęty był obecnie ratowaniem pozycji rankingowej naszego Wydziału (o tym później).

Ale nie było mi dane odnieść sukcesu. Najpierw studenci uruchomili w korytarzu głośnik i zaczęli z niego puszczać muzykę. Samo w sobie byłoby to tylko umiarkowanie drażniące, niestety, w wyniku ograniczonej jakości głośnika, co chwila słyszałem w nim nieznośne przebiecia, prawdopodobnie z głośnika ogłoszeniowego stołówki. Muzyka, już i tak pośledniej jakości, co chwilę łamała się i uzyskiwała wręcz nieziemskie - i to nie w dobrym sensie - właściwości. Potem okazało się, że Prodziekan nie może pracować, ponieważ wypadła mu niespodziewana rocznica ślubu, o której zapomniał, i musiał pilnie wracać do domu, co oznaczało, że na resztę dnia zniknął jedyny człowiek, który wiedział, co właściwie znaczą nasze buńczuczne deklaracje w opisie kolejnych projektowych zadań. Wreszcie, po południu, zostałem nawiedzony przez zupełnie mi nieznanego, rozczochranego jegomościa w prochowcu. Jegomość ów miał natchniony wyraz twarzy, skórzane rękawiczki i - co najdziwniejsze - w jednym ręku trzymał futerał na skrzypce, a w drugim ogromny bukiet róż.

Spojrzałem na niego zaskoczony, w myślach przebiegając wszystkie powody, dla których miałbym otrzymać kwiaty. Moją pierwszą myślą były, naturalnie, przeprosiny. Futerał na skrzypce mógł sugerować, że nieznajomy jest pracownikiem Akademii Muzycznej, która była, ku naszemu utrapieniu, bliskim sąsiadem naszej Uczelni. Jej pracownicy i, co gorsza, studenci, poświęcali wiele czasu na próby gry na instrumentach - głośno i z jakością sugerującą, że ich powołanie leżało raczej w teoretycznej wiedzy o temacie. W połączeniu z faktem, że budżet poskąpił Akademii dźwiękoszczelnych sal, byłem przekonany, że przeprosiny mi się należą.

„Pan nie jest panią Anetką” oznajmił tymczasem nieznajomy, wyraźnie zaskoczony.

Kiwnąłem głową zdezorientowany. Miał rację. Nie byłem.

Przez moment dziwny ów jegomość przyglądał mi się intensywnie, jakby oczekiwał, że wytłumaczę się z tego faktu. Kiedy jednak zorientował się, że nie może to liczyć, przeszedł do natarcia.

Donośnymi i natchnionymi słowy, na granicy nieuprzejmości, oznajmił, że nazywa się doktor Zann (co poza naukami przyrodniczymi, jak rozumiałem, było tytułem czysto grzecznościowym) i szuka Pani Bibliotekarki, znanej mu najwyraźniej pod pozazawodowym imieniem. Zatoczywszy bukietem zamasyzty łuk, obejmujący przestrzeń mojego gabinetu, dodał z naciskiem, że liczył, iż ją tu zastanie. Spoglądał przy tym ze wzburzeniem, wyraźnie oczekując, że jakoś odpowiem na jego, brzmiące niemal jak zarzut słowa.

Milczałem.

On milczał.

Na podłogę powoli opadł wzniecony kwietnym zamachem kredowy pył i kurz z leżących na stoliku książek.

Wreszcie uprzejmie - i ostrożnie - poinformowałem go, że trafił w niewłaściwe miejsce i nie mam pojęcia, gdzie Bibliotekarka może się znajdować. Moje zdanie o Akademii Muzycznej, w ogólności, i grzecznościowym doktorze Zannie, w szczególności, pogarszało się z każdą chwilą.

Skrzypek, uzyskawszy werbalne potwierdzenie informacji, którą zapewne podpowiadały mu zmysły, wyraźnie rozluźnił się i wytłumaczył, że podobno Pani Bibliotekarki-Anetki nie ma w bibliotece, bo poszła coś załatwić z kadrą naukową.

Nooo, i to wiele zmieniło. Bardzo się ucieszyłem. Nigdy nie miałem wątpliwości, że ze wszystkich pracowników to ja najbardziej kojarzę się z personelem naukowym, ale fakt, że było to też oczywiste dla tego, niewątpliwie inteligentnego i spostrzegawczego młodego człowieka, był zupełnie na miejscu. Uprzejmie odpowiedziałem więc, że niestety nie mam pojęcia, gdzie Pani Bibliotekarka się znajduje, ale żeby może sprawdził u Adiunkta z Informatyki, bo ostatnio ją z nim widziałem. Miałem właśnie jowialnie dodać, żeby nie przejmował się swoją pomyłką, ponieważ wprowadzono go w błąd – Adiunkt Informatyki z prawdziwą nauką wspólnego ma naprawdę niewiele – ale nie zdążyłem. Grzecznościowy doktor błysnął oczami, zbladł, oznajmił donośnie, że już nie będzie mnie kłopotał, zamiótł bukietem (znow wzbijając chmurę kurzu i odłamków kredy) i wymaszerował z pokoju zamaszystym krokiem.

Dramatyczny efekt nieco tylko zepsuł fakt, że po chwili zapukał ponownie, by zapytać, gdzie z kolei szukać Adiunkta.

I tyle go widziałem – przynajmniej tego dnia.

9.

Od rana usiadłem znow nad raportem, łącząc siły z Prodziekanem, wyraźnie tego dnia rozgoryczonym. Krótka rozmowa ujawniła, że wczorajszy dzień – zapomnianej rocznicy – był raczej nieudany, i nic nie pomogło, że wracając do domu kupił małżonce czekoladę i ciepłe skarpety. Ani romantyczna, ani praktyczna część jego rocznicowego prezentu nie spotkały się z właściwym zrozumieniem. Prodziekan został oskarżony o grubiaństwo oraz całkowity brak zaangażowania, a rozwścieczona połowica oznajmiła, że nie zamierza z nim rozmawiać. Co gorsza, okazało się, że przyjęcie tej decyzji do wiadomości i zajęcie się zaległymi artykułami naukowymi również nie było oczekiwaną reakcją na jej deklarację i scholar musiał spędzić resztę dnia w niełasce.

Nie był to zatem najlepszy start, a miało się okazać, że to dopiero początek.

Najpierw nawiedził nas Administrator Sieci, wyznaczony przez Wydział na specjalnego śledczego w sprawie zagadki podwójnych standardów papieru toaletowego. Zapewne dlatego, że w sposób oczywisty, skoro nie zajmował się nauką, to i tak nie robił nic użytecznego. Młody ów człowiek, zrazu zirytowany zadaniem, ostatecznie bardzo wyraźnie się w nie zaangażował. Spędził u nas niemal godzinę, prowadząc drobiazgowe przesłuchanie dotyczące naszej wiedzy w temacie, sporządził z niego nawet długi protokół. Było to godne podziwu, bo ja na przykład o sprawie nie wiedziałem właściwie nic – kiedy nie opuszcza się swojego piętra, wiedza człowieka o różnicach papierów toaletowych na innych kondygnacjach Uczelni jest, w rozumiały sposób, dosyć mglista.

Potem okazało się, że żaden z nas nie rozumie ni w ząb, co właściwie obiecaliśmy zrobić w projekcie. Wszystkie treści zadań i kamienie milowe pisane były, naturalnie, we wniosku, czyli prawie trzy lata temu. Najjaśniejsza Centrala Badań Iście Rewolucyjnych, wierząc święcie w porządek i planowanie, zakładała, że kiedy ktoś składa projekt badawczy, ma już wszystkie jego wyniki, więc doskonale wie, jak w ciągu kolejnych lat zmieni się nauka, oraz co wnioskodawca jest w stanie osiągnąć i w jaki dokładnie sposób. Dlatego jeśli lekkomyślny naukowiec choć o krok zszedł z wytyczonej przez siebie ścieżki, musiał się gęsto tłumaczyć surowym i zasadniczym recenzentem.

My byliśmy dokładnie w tej sytuacji. Gdzieś pomiędzy złożeniem wniosku a podpisaniem umowy projektowej – czyli trzy lata temu – Maszyny Belforda, których mieliśmy używać, zostały wyparte z rynku przez nowe i bardzo rozwojowe rozwiązanie Modeli Dynamicznych. Natychmiast wzięło ono nauką społeczność przebojem i kiedy rok temu, czyli dwa lata po napisaniu wniosku, dotarliśmy

do zadań, które ich dotyczyły, nie miało żadnego naukowego sensu używać czegokolwiek innego. Zatem nie użyliśmy. Problem polegał na tym, że Maszyny Belforda były wpisane w projekt, a co gorsza w jego kamienie milowe. Oznaczało to, że osiągnięcie założonych wyników nie na nich mogło zaowocować odrzuceniem raportu, finansowania, wreszcie - naukową niesławą.

To z tego powodu, przypomnieliśmy sobie niejasno, Szef Projektu jakiś czas temu próbował nas zmusić do przeprowadzenia dodatkowych badań na przestarzałej metodzie, by osiągnąć wyniki gorsze od dotychczasowych. A my, zapatrzeni w postęp i wizje publikacji, ignorowaliśmy najpierw jego nalegania, a potem nawet dramatyczne rwanie włosów z głowy.

Teraz zaś siedzieliśmy w gabinecie bez niego, mając, z jednej strony, nasze własne obietnice, a z drugiej strony, surowy list z biura Centrali, mówiący jasno, że zmiana treści kamieni milowych jest nieprofesjonalna, nieuczciwa i staje się wręcz sabotażem rozwoju naukowego krajobrazu Ojczyzny. Zrozumieliśmy wtedy, że Centrala co prawda nade wszystko ceni sobie rozwój nauki i postęp, ale jest też konsekwentna niczym góra lodowa i nie daje się łatwo sprowadzić z kursu przez okazjonalne nowinki. Zwłaszcza jeśli wprowadziłyby to bałagan w dokumentacji.

Po długiej naradzie zdecydowaliśmy się poddać i wrócić do Maszyn Belforda, co oznaczało wykonanie czteromiesięcznych badań w dwa tygodnie. Plan wydawał się niełatwy od samego początku, a natrafił jeszcze na dwie zasadnicze trudności.

Po pierwsze, niedługo po tym, jak rozeszliśmy się do pokojów, Uczelnia w pełni obudziła się do życia. W korytarzu najpierw rozbrzmiały skoczne dźwięki puszczonej z radiowęzła studenckiej muzyki, potem rozmowy i śmiechy tychże studentów. W którymś momencie ktoś nawet wszedł zaprosić nas na świąteczne pierniczki, które w ramach budowy świątecznego nastroju wystawiono obok ekspresu do kawy. Hałasy trwały, rozpoznawałem podniesione głosy Adiunkta Informatyki oraz grzecznościowego doktora Zanna.

Ale to byłem jeszcze w stanie jakoś zneutralizować wielkimi słuchawkami.

Niestety następnego dnia zaginął Prodziekan.

10.

Poranek zaczął się od bałaganu w moim pokoju. Mój zaledwie rozpoczęty raport projektowy i notatki ktoś zasypał okruchami krakersów, z paneli sufitowych zwisały jakieś nitki, a tablicę - MOJĄ TABLICĘ - ktoś zwyczajnie i bezczelnie starł. Wiem, że wielu z Was może nie rozumieć grozy sytuacji, ale u nas, na Wydziale, to poważna sprawa.

Kreda i tablica nadal mocno trzymają się na froncie naukowych notatek i w istocie do dziś panuje mocne przekonanie, że fizyk, który nie ma marynarki uwalanej kredowym pyłem, jest prawdopodobnie podejrzanym imitatorem. W swoim czasie wśród młodszej kadry odkryliśmy nawet czarny rynek kredowego proszku, co z jakichś powodów spowodowało serię nieporozumień z władzami.

W każdym razie - jakby tego było mało, moja własna tablica została nie tylko pozbawiona cennych notatek, ale ktoś bezczelnie nakreślił na niej wizerunek żonkila oraz dwuwiersz *W te święta wesole, co idą z piosnkami, skończy się nauka, zacznie radowanie*. Był to niezaprzeczalny dowód, że mam do czynienia nie tyle z czymś karygodnym niedopatrzaniem, a działaniem umyślnym, acz pozbawionym

jakiegokolwiek rozważki i rozsądku, skupionym wyłącznie na czczej krotchwili. Słowem – studenckim.

Wściekły, napisałem pełen gniewu list elektroniczny do całego Wydziału – co było jedynym możliwym dla mnie działaniem, ponieważ nie znałem żadnego z praktykujących u nas studentów z imienia i nazwiska, ale i tu czekała mnie porażka. Sieć nie działała, co komputer oznajmił mi dużym, czerwonym – i jakby złośliwym – komunikatem. Zresztą, jak miało się okazać, na Wydziale od rana nie działało nic, od oświetlenia w toalecie po drukarkę.

Nie było trudno znaleźć winnego tej sytuacji. Był nim – jak zawsze, kiedy cokolwiek nie działało – Administrator, który zamiast pilnować sieci, maili, krzeseł, dokumentacji, kawy dla personelu, drukarek i całego grona zupełnie nienaukowych, niepotrzebnych i banalnych rzeczy, prowadził śledztwo Pani Kasi.

Poprzez korytarz pełen migających lamp i świątecznej muzyki, puszczonej przez studentów, udałem się do Administratora Sieci, by wyjaśnić sprawę. Jego gabinet znajdował się w przestrzeni gospodarczej pod schodami. Była to niewielka, wypchana po brzegi sprzętem i narzędziami kanciapa, w którą ledwo udało się wcisnąć malutki stolik, zawalony opakowaniami po czekoladzie i luźno zapisanymi kartkami, oraz, oczywiście, samego Administratora, w tej chwili z uwagą analizującego jakieś dokumenty.

Gniewnie wyjaśniłem mu problem (w istocie wszystkie problemy), wyraźnie zazaczyłem, że uważam, że to jego wina, i że oczekuję naprawy wszystkiego, włącznie z okruszkami krakersów. Dodałem też „natychmiast”, żeby wiedział, że sprawa jest poważna i by potraktował mnie z należytą powagą. Administrator, niestety, zrozumiał to na opak. Wysłuchał mnie ze spokojem, a następnie, nadal w ciszy, na niewielkiej karteczce napisał „okruszki krakersów” i przy pomocy magnesu przykleił papier do metalowej płyty na samym spodzie długiej listy zadań, jakie już tam były (rzuciły mi się w oczy „kawa do ekspresu”, „pomiar średnicy umywalek” oraz „napisanie przetargu na dywaniki przed gabinet”). Następnie spojrzął na mnie konfrontacyjnie i oznajmił, że weźmie się za to natychmiast, kiedy skończy wszystkie pozostałe, priorytetowe zadania, które mu przydzielono jako oczywistą część obowiązków Administratora Sieci.

Wyszedłem, wściekły i pokonany, wprost na korytarz, gdzie nadal trwała trzeszcząca sesja muzyki świątecznej, przeplatana przebiciami ze stołówkowego głośnika. Nie miałem nawet ochoty na rozłożone przy ekspresie do kawy świąteczne pierniczki.

W całkowicie wymarłym i niedziałającym Wydziale, pozbawionym zarówno pracowników, skazanych na wygnanie urlopowe, jak i wiernie służących nam dotychczas urzędzeń, zasiadłem do pracy. To wtedy dotarło do mnie, że choć zbliżała się już jedenasta, nadal nie było Prodziekana. Nie było go w jego pokoju, nie było przy ekspresie ani w bibliotece, nie stał zdezorientowany przy niedziałającej drukarce – słowem, nigdzie. Nikt też go dziś nie widział, nawet portier. Lista obecności również była niepodpisana.

Jakby Prodziekan całkowicie zniknął z tego świata albo przynajmniej nie przyszedł do pracy. Co właściwie było niemal tożsame.

Dla pewności zapytałem o niego wszystkich – nawet studentów – a potem raz jeszcze zajrzałem do jego gabinetu. Przeszukałem pomieszczenie dokładnie raz i drugi, coraz bardziej zdenerwowany i zaniepokojony, cierpiąc od doskonale tu słyszalnych z korytarza świątecznych hitów i wezwań do odbioru kłopsików dla numeru osiemnaście. I dopiero wtedy uderzyło mnie nagłe olśnienie.

Na jego biurku leżał tomik poezji.

To było niepokojące. Żaden szanujący się naukowiec nie powinien marnować czasu na takie głupoty.

Sam Prodziekan wielokrotnie i zdecydowanie wypowiadał się w tym temacie i było czymś absolutnie niemożliwym, żeby zdanie z dnia na dzień zmienił. A jednak, dowód leżał przede mną na biurku.

Z moim współpracownikiem musiało wydarzyć się coś zaiste strasznego.

Ostatecznie, po długich i bezowocnych rozmyślaniach, udałem się - z oporami - do Pani Kasi, która przyjęła mnie w zasadzie w drodze wyjątku, bo choć na jej drzwiach nadal wisiała tabliczka o kontakcie przez pocztę elektroniczną, to sieć wydziałowa nie działała. W czasie swojej krótkiej kariery na Wydziale nasza nowa kadrowa w jakiś przerażający, znany tylko jej profesji, sposób zdobyła całą wiedzę na temat i Uczelni i jej pracowników. Liczyłem więc na wsparcie.

Tam jednak moje przerażenie tylko się pogłębiło - Pani Kasia poinformowała mnie, zupełnie spokojnie, iż Prodziekan wziął dziś urlop na żądanie, aby spędzić trochę więcej czasu z rodziną.

URLOP. NA ŻĄDANIE. ŻEBY SPĘDZIĆ CZAS Z RODZINĄ.

W połączeniu z tomikiem z jego biurka, brzmiało to zupełnie nieprawdopodobnie. Nie pomogła uwaga Pani Kasi, że bardzo się z tego cieszy i że pan Prodziekan z pewnością zyska na odpoczynku i rodzinnej atmosferze.

Wiedziałem, że coś jest nie tak. I że muszę coś zrobić.

Bez słowa wypisałem podanie o wyjście w godzinach pracy i udałem się, by go odwiedzić.

11.

Prodziekan mieszkał niedaleko Uczelni. Kiedy zaczął u nas pracować, czyli gdzieś w czasach świetności Wydziału Chemii, była to kwestia zawodowa - Niegdyś Zaprzyjaźnione Mocarstwo wolało mieć wszystkich naukowców pod swym opiekuńczym okiem. Potem zaś, w czasach, gdy w burzliwy i dynamiczny sposób nasza odwieczna przyjaźń rozpadła się w umiarkowaną zaledwie tolerancję - coś pomiędzy lojalnością i przyzwyczajeniem. Faktem było, że chęć przebywania blisko Wydziału i niedopuszczenia, by jakiś przełom (ostatnio najczęściej generowany przez Banasia) wydarzył się bez jego, prodziekańskiego, nadzoru (i współautorstwa) sprawiała, że odmawiał kategorycznie przeprowadzki w rejon, z którego nie dałoby się do pracy dotrzeć na piechotę.

Ofiarność ta i ambicja, na ile rozumiem, była często kością niezgody w jego relacjach z rodziną, choć, jak mierniam, nie większą niż fakt, że badania - i budowanie naukowej sylwetki - były od zawsze największą miłością mojego kolegi, a wszystko inne znajdowało się na nieco rzadziej przezeń odwiedzonym końcu skali.

Wspominam o tym, ponieważ rzutowało to nieco na moją wizytę - żona Prodziekana żywiła irracjonalną niechęć do Uczelni i jej reprezentantów. Pokonując ostatnie schody w wiekowej kamienicy, zamieszkiwanej obecnie przez nielicznych już mieszkańców, z góry szykowałem się na trudności.

I nie pomyliłem się, ale nie z oczekiwanego przeze mnie powodu.

Żona Prodziekana sprawiała wrażenie wesołej. Z lekko triumfującym uśmiechem zaprosiła mnie do środka, gdzie zaproponowała mi herbatę i zawołała męża. Ten pojawił się niemal natychmiast - i to

jak potwornie odmieniony!

Wyglądał właściwie dokładnie, tak jak zawsze, oprócz być może lśniącej białej koszuli i eleganckiej nowej marynarki wraz ze sterczącą z butonierki orchideą. Bardzo ucieszył się na mój widok, ale zupełnie nie rozumiał mojego lęku o jego osobę. Oznajmił, że urlop wziął ze względu na sprawę zapomnianej rocznicy, którą chciał wynagrodzić małżonce – wspominał o teatrze i restauracjach a nawet (!) o wzięciu dłuższego urlopu na odkładany od czasów przemian ustrojowych wyjazd.

Następnie, zupełnie ignorując moje pełne przerażenia milczenie, wyjaśnił, że odkrył, że być może naukowa kariera to nie wszystko, że powinien bardziej docenić życie i ludzi wokół siebie. Że być może to świąteczna atmosfera, albo doświadczenie, ale poczuł nagle, że świat ma tyle zaoferowania, a on, Prodziekan, zbyt długo to wszystko ignorował.

Pijąc herbatę, by ukryć pełen przerażenia wyraz twarzy, słuchałem dalej – o planach przeprowadzki do bardziej eleganckiego mieszkania, podróży, kursie malarstwa. O tym, że już zaplanował sześć tygodni urlopu na wiosnę! Wysłuchałem nawet – w pełnym szoku milczeniu – wiersza, który mój współpracownik stworzył na cześć małżonki a który z dumą i emfazą odczytał.

Z boku druga połówka Prodziekana przyglądała się z zadowoleniem upadkowi wielkiego umysłu, wyglądając niczym pajak na środku swej sieci. Następnie, z tym samym zwycięskim uśmiechem, zaproponowała mi nawet ciasto i pierniczki, oraz zaprosiła mnie wraz z małżonką w gości.

Odkrzyknąłem „apage!” i uciekłem, w biegu porywając płaszcz z wieszaka i dokonując udanej jedynie w połowie próby wskoczenia w buty. Wiedziałem, że tylko tak mogę jeszcze uratować własną normalność, która teraz była ostatnią szansą dla mojego, w sposób oczywisty chorego lub otrutego, towarzysza. Zbiegałem po schodach, prędko, jak nigdy dotąd, powiewając płaszczem, z jednym butem założonym na nogę a drugim – pod pachą.

Nie byłem z siebie dumny zostawiając go w tym stanie. Wiedziałem jednak, że aby mu pomóc, sam muszę pozostać przy zdrowych zmysłach. A do tego musiałem odsunąć się od potencjalnie szkodliwych wpływów.

Z każdym kolejnym krokiem rosła we mnie determinacja. Zamierzałem za wszelką cenę uratować mojego współpracownika.

12.

Po powrocie na uczelnię nadszedł czas na planowanie dalszego działania. Niestety, nie było zbyt wielu opcji.

Nie miałem chwilowo pojęcia, co mogło sprawić, że Prodziekan został całkowicie pozbawiony wszelkiego profesjonalizmu oraz miłości do nauki i postępu. Byłem bowiem absolutnie przekonany, że zmiana nie dokonała się w nim sama. Nie podejrzewałem – po krótkiej, początkowej chwili słabości – jego małżonki. Mimo nieprzyjemnego zwyczaju narzekania na pewną skłonność męża do ignorowania mniej istotnych od nauki aspektów życia – dzieloną wszak przez wszystkich życiowych partnerów pionierów, wykuwających przyszłość ludzkości – jej pełne zadowolenia zaskoczenie sugerowało, że była po prostu beneficjentką sytuacji, nie zaś jej sprawczynią.

Siedząc już we własnym gabinecie, przy dźwiękach dzwonkowej muzyki przerywanej wezwaniem do

odbioru klusek na parze, uświadomiłem sobie zresztą, że kwiatek na mojej tablicy mógł nie być wyrazem niechęci czy zwykłą złośliwością. Przyglądając się obmierzłym płatkom i – przyznaję, zaskakująco precyzyjnie stworzonej, jak na malunek kredą – łądyżce, nabierałem coraz większej pewności, że nie byłem przypadkową ofiarą. To co wydarzyło się na mojej tablicy było – musiało być – ostatnią próbą komunikacji osoby zsuwającej się w otchłań prodziekańskiej choroby. W każdej linii widziałem teraz rozpacz i nadzieję, że największy umysł Uczelni, odkryje co się dzieje i powstrzyma katastrofę zanim pochłonie kolejne życie. Dwuwiersz *W te święta wesole, co idą z piosnkami, skończy się nauka, zacznie radowanie* nie brzmiał już jak krotochwila. Był wezwaniem o pomoc.

Pomyślałem nagle ciepło o jakiejś zagubionej duszy, która wyczuła nadciągające zagrożenie i, ugodzoną przez chorobę dłonią, naskrobała ostatnie ostrzeżenie.

Jeszcze dłuższą chwilę poświęciłem myśli, że musiał to być ktoś rozsądny, zwracając się z tym właśnie do mnie, w sposób naturalny rozpoznając najtęższy umysł Uczelni, jedyny, który mógł pomóc. Potem pomyślałem o tym jeszcze trochę, bo była to rzecz warta zapamiętania. Napisałem nawet okólnik, żeby na pewno nie zaginęła, ale nie dało się go nigdzie wysłać, bo sieć nadal nie działała.

A potem zabrałem się za pracę – i natychmiast odkryłem, że nie mam żadnego pomysłu, co robić dalej. Spisałem wszystkie dotychczasowe tropy i wszystko co na uczelni było nowe – Panią Kasię, badania lekarskie, urlopy, wreszcie rozpaczliwą wiadomość na tablicy. I nadal zupełnie nic się nie wyłaniało.

Rozważałem uzyskanie wsparcia, ale tego nie miałem gdzie szukać – prawdziwych naukowców na Wydziale po prostu niemal nie było. Dziekan, wraz z większością innych został wysłany na wygnanie, Prodziekan był zarażony, Banaś zaś zajęty poważnymi pracami na rzecz Wydziału i nie należało mu przeszkadzać. Na studentów zajętych swoim pierniczkowaniem i rozpracowywaniem technicznego problemu ich głośników ze świąteczną muzyką – nawet nie liczyłem.

Pozostała mi tylko jedna osoba nie zajmująca się niczym ważnym – Administrator Sieci. Skierowałem się doń z niechęcią. Administrator, zajęty śledztwem Pani Kasi, stał się opryskliwie odporny na wszelkie racjonalne żądania kadry i nie mogłem, tak jak dotąd to czyniłem, wydać mu kategorycznego polecenia. Udałem się do ponownie kanciapy pod schodami, gdzie rezydował, bez wielkich nadziei i z jeszcze większą niechęcią niż ostatnio – ale przecież chodziło o zamach na współpracownika (i raport!).

I tu spotkało mnie całkowite zaskoczenie. Po dawnej konfrontacyjności Administratora Sieci nie pozostał nawet ślad.

Odziany w prochowiec i kapelusz, wyposażony w notatnik i w piersiówkę, z której zaproponował mi herbaty, był on pełen zelociego natchnienia wskazującego, że oto odnalazł wreszcie swoje życiowe powołanie. Opowiedział ponurym głosem, iż jego śledztwo postępuje naprzód. Udało mu się namierzyć pierwsze zamówienia, w których papiery toaletowe z piętra i parteru różniły się w jakości – miękki i elegancki wędrował na piętro pierwsze, znajomy zaś, twardy i przypominający papier ścierny – na parter. Ponieważ zamówienie to, jak każde zresztą na wydziale, było naturalnie zamówieniem publicznym, ogłoszono zatem przetarg, powołano komisję do spraw oceny ofert (Kierownik działu Kadr, szef działu BHP i Sekretarz Wydziału), a ta zebrała się, by wskazać najbardziej korzystną ofertę.

Ponieważ były to czasy skądinąd kojarzone z problemami z papierem toaletowym, fakt że udało się pozyskać luksusowy produkt tylko dla jednego piętra nie wydawał się niczym dziwnym i Administrator Sieci zamierzał nawet zamknąć śledztwo w tym punkcie. Ale było coś jeszcze. Otóż

wkrótce w dokumentacji pojawiło się rozporządzenie samego Dyrektora, że ustalony porządek kupowania papieru ma być utrzymany aż do odwołania i absolutnie niekwestionowany. Dlaczego Dyrektor miał wystawiać taki dokument – pozostawało zagadką i Administrator Sieci nie znalazł na nią, jak dotąd, żadnej odpowiedzi. Szykował się właśnie do kolejnej wyprawy do biura naszego pryncypała, by znów zanurkować w otchłani jego umysłu sprzed czterdziestu ponad lat.

Życzyłem mu szczęścia i, idąc za ciosem – gdyż jego zapał wydawał się nastawiać go pozytywnie – zapytałem, czy być może chciałby rozpatrzyć kolejne, niezwykle ważne dla Wydziału śledztwo. Poza kolejnością parzenia kaw i sprzątania okruszków, oczywiście, które – dodałem, chytry niczym lis – z pewnością znajdują się poniżej godności tak doskonałego śledczego.

Administrator spojrział na mnie, pokiwał głową, i, ku mojej radości, oznajmił że sprawę weźmie. Po czym, zanim zdążyłem się ucieszyć, dodał, że najpierw jednak musi zakończyć obecną, a tu, mimo włożonego wysiłku, natrafił na ślepy zaułek karygodnego braku pamięci Dyrektora na temat dokumentu, który podpisał cztery dekady wcześniej. Próbowałem go przekonać, lecz na moje prośby pozostawał niewzruszony niczym kamień.

Jedyną możliwą opcją było znalezienie dla niego odpowiedzi wśród niezbyt jasnych i starych danych. Na szczęście – mieliśmy na Wydziale eksperta od właśnie takich spraw.

Mniej więcej.

Przyparty do muru, zdecydowałem się zaangażować w sprawę Banasia.

13.

Banaś nie jest osobą tak naprawdę ani trochę straszną. Wręcz przeciwnie. Młody ów doktor pozostaje zwykle osobą sympatyczną i z należyтым szacunkiem traktuje powagę profesury i uczelniane tytuły. Chętnie angażuje się w nowe projekty (czasem aż zbyt chętnie, przez co nigdy nie ma czasu) i choć bywa nieprawdopodobnie roztargniony, w zasadzie miałem pewność, że jakąś pomoc u niego uzyskam. Problemem było to, że jak już zdarzyło mi się wspomnieć, był też obecnie osobą mocno zaangażowaną w ratowanie Wydziału.

Tu tylko taka drobna dygresja, bo oczywiście jako laicy, możecie nie wiedzieć.

Cały system oceny wydziałów takich jak nasz rozbija się – naturalnie – o to, jak bardzo wpływa on na rozwój cywilizacji i Ojczyzny. To w zasadzie rozsądne i chyba nikt z kadry naukowej nie protestował, kiedy Miłościwie Nam Panujący wprowadzili taką ogólną zasadę. Problemem jednak było jej rozumienie. Otóż, zupełnie bez sensu zdecydowano się nie na miarę naturalną (nauki przyrodnicze rozwijają, a cała reszta nie powinna się liczyć), lecz uzależniono ocenę od skomplikowanego algorytmu, w którym absolutnie kluczowe było publikowanie badań w czasopismach odpowiednio punktowanych. Listę takich czasopism, wraz z ich wartością w punktach, tworzyło Ministerstwo z osobistym nadzorem Najważniejszego Ministra – aby zadbać o to, by naprawdę tylko najlepsze naukowe dzienniki miały szansę złowić uwagę najlepszych na świecie naukowców Ojczyzny.

I wszystko byłoby zupełnie proste, gdyby nie Największy z Rodaków.

Największy z Rodaków był osobą w Ojczyźnie dosłownie ubóstwianą. Świadczyły o tym pomniki, kalendarze, biografie, zdjęcia, okolicznościowe znaczki oraz monety. Zajął te wszystkie miejsca wygodnie zwolnione przez tych, którzy wcześniej okupowali je przez długie lata. Można było kupić makatki z jego podobizną, jego ulubione ciastka, książki kucharskie i miniatutki. Miał swoje ulice,



parki i place. Wystarczyło wyjść z domu, przejść kwadrans w dowolnym kierunku i od razu natrafiało się na dominum jego imienia. Był też, jak szybko odczuła nauka w Ojczyźnie, ulubionym człowiekiem Najważniejszego Ministra.

Zamiłowania tegoż poznaliśmy w sposób jak najbardziej wymierny - po punktacji. Środowisko naukowe pewnego dnia zorientowało się, że maksymalną liczbę ministerialnych punktów mają już nie tylko wielkie międzynarodowe żurnale z mierzonymi tymi samymi jednostkami, co budżety państw Indeksem Cytowań, ale również, z jakiegoś powodu, czasopisma „Tylko Beton” oraz „Dzienniki Ministerialne”. Wkrótce dołączyły doń „Żurnal analiz wypowiedzi Największego z Rodaków”, „Rozważania Największego z Rodaków i ich wpływ na naukę”, „Dzienniki uczelni demonstracyjnie lubiącej Największego z Rodaków” i wiele innych, umieszczone na liście według podobnego wzorca.

To, w naszym silnie konkurującym o rzeczony punkty świecie naukowym, była prawdziwa rewolucja i kto wie, jakby się ona skończyła, gdyby nie Banaś właśnie. On to, w przyływie geniuszu i po długiej pracy z jego nowym hobby, czyli modelami językowymi, stworzył niezwykle skomplikowany algorytm, który potrafił do każdego z naszych badań przyporządkować idealnie pasujący cytat Największego z Rodaków. Tworzył też kilkanaście zdań, które należało wewnątrz tekstu umieścić, aby należycie zaczepić go w światopoglądzie i przekonaniach naszego wielkiego krajana.

To otwarło przed naszym Wydziałem szerokie morze opcji. Od teraz, po obrobieniu przez Banasia, każdy artykuł dało się opublikować w wysoko punktowanym czasopiśmie, które - z jakiegoś powodu - mniej były oblegane przez zagranicznych naukowców (również dlatego, że tworzono je w naszym języku ojczystym, obecnie umiarkowanie międzynarodowym). Konkurencja była o wiele mniejsza, wartości punktowe - takie same lub wyższe. Staliśmy zatem u progu prawdziwej wielkości.

Jedynym problemem był fakt, że wiele źródeł, z jakimi Banaś miał do czynienia w realizacji swojej pracy, nigdy nie istniało w szeroko dostępnej formie cyfrowej. Choć doktor pilnie wprowadzał je na instytutowe dyski, czyniąc z nich, przy okazji Największe z Dysków - nadal zwieńczenia jego pracy nie było widać. Pod koniec roku był zwykle zajęty nanoszeniem zmian do prac każdego członka wydziału tak, by powiązać je z wiadomą osobą i tym samym radykalnie poprawić ich ocenę. Ze względu na to, że były to działania o znaczeniu strategicznym, miał w tym absolutny priorytet i inni mieli całkowity zakaz przerywania mu, z wyjątkiem sytuacji ekstremalnych.

Do takiej to ostateczności właśnie zostałem zmuszony, by uzyskać pomoc Administratora Sieci.

14.

Pokój Banasia był niezbyt duży i w całości zawałony materiałami dotyczącymi Największego Rodaka - były tu zapisane drobnym pismem kartki, kilkanaście albumów, modele pomników, wielka mapa z masą chorągiewek oraz dwa puste pudła po kremówkach. Był w nim też, naturalnie, sam Banaś - pochylony nad wielką lupą, pod którą znajdowała się jakaś stara fotokopia artykułu prasowego. Zrazu nie zauważył naszego wejścia, skupiony na pracy, ale nagle podniósł się raptownie i spojrzał na nas pełnym skupienia wzrokiem.

„Roboty” powiedział z przekonaniem i zanotował coś szybko - pomimo istnienia wszystkich otaczających go notesów - na serwetce. Banaś był wierny starej zasadzie zza - obecnej - granicy, że prace na serwetkach mogą mieć duże znaczenie dla naukowej przyszłości.

Spojrzeliliśmy po sobie, potem znów na niego, ale był już pochłonięty artykułem. Powiększone do

nieprawdopodobnych rozmiarów przenikliwie oko Największego z Rodaków spoglądało na mnie z otwartego kolorowego czasopisma, nad którym pochylał się Banaś.

Ostrożnie się przywitaliśmy, na co doktor podniósł się energicznie, następnie uśmiechnął się szeroko i podsunął nam stołki, sprząając z nich najpierw zdjęcia tekstów starych przemówień Największego z Rodaków.

Natychmiast też zapoznał nas ze swoim nowym podejściem do problemu upunktowania naszych artykułów badawczych, wymachując serwetką z wyczerpującymi notatkami w postaci napisu „robot” oraz pogładowego rysunku tegoż właśnie. Banaś oznajmił, że właśnie to urządzenie będzie rozwiązaniem. Robot taki miałby odpowiednio mocny endoszkielec, opowiadał ze swadą, pozwalający mu przenosić ciężkie pudła, zaawansowane systemy AI, celem identyfikacji materiałów, oraz byłby powleczone imitacją ludzkiej skóry, żeby nie straszyc postronnych. Fundusze dałoby się pozyskać, kontynuował, z Ministerstwa Obrony, które ostatnio bardzo było zainteresowane robotycznymi nowinkami, o ile tylko nauczy się go robienia jakichś sztuczek z bronią, bo dla wojskowych to zawsze atrakcyjne. Taki robot, kontynuował Banaś w entuzjastycznym słowotoku, mógłby z całą pewnością zakończyć prace szybko i efektywnie, a kiedy już osiągnie sukces – z pewnością znajdzie się dla niego jakieś zajęcie, jak choćby terminowanie na Uczelni, choćby u samego Banasia.

Znów spojrzeliśmy po sobie, nieco z przestachem myśląc o humanoidalnym robocie, tworze Banasia i Ministerstwa Obrony, pozbawionym w końcu wykonanego zajęcia digitalizacji i zaznajomionym ze sztuczkami z bronią. Nasz brak entuzjazmu zdaje się wybił mojego kolegę z twórczego szau – i wreszcie zapytał, o co nam chodzi.

Wyjaśniliśmy mu więc pośpiesznie całą sprawę. Urlopy, awanturę z muzykiem, którą doktor oczywiście przegapił, chorobę Prodziekana, ostrzeżenie na tablicy i potrzebę pozyskania wsparcia Administratora Sieci wraz z jego prochowcem i kapeluszem – a także sprawę papieru toaletowego. Włożyliśmy mu też do ręki dokumenty.

Banaś chwile się zastanowił, następnie przez dłuższy czas przeglądał papiery, potem usiadł przy komputerze i zagłębił się w pracy. Wstał dopiero po pewnym czasie. Otóż, powiedział, sprawa wydaje się prosta.

Przede wszystkim cała komisja kierująca przetargiem i zleceniem na zakup papieru – Szef Działu Kadr, Szef BHP i Sekretarz – tak naprawdę była jedną osobą, ponieważ na skutek spiętrzenia etatów – w całości obsadzał ją pan Zenon. Podobnie i surowe polecenie Dyrektora, dotyczące stałości ustaleń komisji, było tak naprawdę stworzone przez sekretariat – czyli znów pana Zenona – a podpisane jedynie parafką, co oznaczało, że Dyktor zapewne nawet nie spojrzął na dokument. Sama decyzja Pana Zenona była również wytłumaczalna, kontynuował Banaś. Data zarówno zebrania komisji, jak i polecenia Dyrektora, tylko o kilka dni różniła się od daty zwycięstwa naszej uczelnianej reprezentacji szachów przeciwko bratnim narodom, w tym Małego Azjatyckiego Autorytaryzmu, a tak się składało, że w tych odległych czasach w reprezentacji był Dziekan – wtedy jeszcze prosty doktorant – który pracował właśnie na pierwszym piętrze.

Wyraźnie Pan Zenon wziął do siebie porażkę swoich krajan (czego wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy) oraz chętnie się Dziekana (o którym z kolei wiedzieliśmy doskonale) – i jakoś tak zostało przez kolejne cztery dekady.

Administrator Sieci dokładnie przyjrzał się wynikom Banasia, pokiwał głową, po czym stwierdził, że właśnie do tego wniosku sam się zbliżał. Potem odchrząknął, raz i drugi, wreszcie spojrzął na mnie i powiedział, że pozostaje do mojej dyspozycji w kwestii śledztwa.

Do pracy zabraliśmy się bezzwłocznie i jako pierwszy trop do sprawdzenia desygnowaliśmy otrucie. Byliśmy wszak tuż obok Wydziału Chemii, który był tak dobrze wyposażony zarówno w odczynniki, jak i sprzęt, że podobno tamtejsi pracownicy zawsze byli w podejrzenie bardzo dobrym nastroju.

Naturalnie prowadziło to do sposobu dostarczenia trucizny do ciała Prodziekana. Ale i na to mieliśmy odpowiedź, zwłaszcza, że ciągle przebitki z radiowęzła stołówki wciąż naprowadzały nasze myśli ku jedzeniu (lub jakkolwiek można było nazwać rzeczy serwowane na stołówce). Pierniczki! Oto stał przy ekspresie do kawy talerz świątecznych specjałów, który pojawił się krótko przed tym, jak nasz kolega w sposób tragiczny zatracił skupienie na rzeczach istotnych. Dumny, słodki i buńczucznie łypiący na nas lukrowanymi kwiatami, nadal nie całkiem pusty – podczas gdy pozostawione same sobie krakersy i kanapki niemal zawsze znikają.

Z miejsca odrzuciliśmy argument, że przecież studenci także jedli pierniczki i nadal byli na Uczelni. A raz nawet widziałem, jak zjada je, ostatnio radosna jak skowronek, Pani Bibliotekarka. Było oczywiste, że żadne z nich nie odczuje braku skupienia na nauce, bo żadne z nich nigdy nie skupiało się na nauce. Potrzebowaliśmy kogoś innego, kogoś, kogo znaliśmy z względnie poprawnej pracy naukowej i jednocześnie kogoś, kogo nie będzie nam zupełnie żal, jeśli padnie ofiarą tajemniczej choroby. Słowem – Adiunkta z Informatyki.

Adiunkt był na Wydziale czymś tylko w rodzaju naukowca, zajmującego się fizyką informatyczną, nowomodnym i niezbyt istotnym kierunkiem studiów, którego zakresu nie będę Wam przybliżać trochę z pogardy, a trochę z niewiedzy. Nie była ona w każdym razie ważna. Dochrapał się jednak stopnia adiunkta, i to na Wydziale, co oznaczało, że musi sobą cokolwiek prezentować.

Udaliśmy się do niego w te pędy – zajmował wyremontowany pokój na piętrze, gdzie pełno było wielkich stołów i szumiących komputerów, wszystkich korzystających z sieci na jego prywatnym telefonie – i zamarliśmy w przerażeniu.

Przybyliśmy bowiem za późno.

15.

W pokoju prawie-fizyka Adiunkta znajdowała się radosna Pani Bibliotekarka, z którą właśnie rozmawiał nasz kolega – również cały w uśmiechach, co w jego przypadku wyglądało zdecydowanie upiornie. Adiunkt kończył opisywać piękno Tatr o zachodzie słońca, które zamierzał jej pokazać, oraz częstował ją czekoladkami z otwartej bombonierki. Kiedy tylko weszliśmy przerwał natychmiast, wstał i przywitał się (słodkimi nas jednak nie poczęstował).

Obaj, jeden przez drugiego, wymachując talerzem z pierniczkami, wytłumaczyliśmy mu, że liczyliśmy na jego pomoc w ważnym śledztwie, ale teraz, kiedy już padł ofiarą truciciela, stał się tak bezużyteczny, jak zawsze. Fragment o otruciu wyraźnie zaciekał zarówno jego, jak i Panią Bibliotekarkę, i choć tłumaczyliśmy im, że sprawa jest skończona i już nam nie pomogą, uparcie chcieli wiedzieć więcej.

Opisałem więc objawy – co spotkało się z rażącym niezrozumieniem powagi sytuacji. Oboje uważali wręcz, że wszystko jest dokładnie tak, jak powinno być, i jeśli to jest otrucie, to zamierzają pozostawić otruci przez całe życie.

Wyraźnie całkiem już odchodzili od zmysłów – i nie mieliśmy pojęcia, dlaczego. I choć, na nasze

szczęście, Adiunkt w ogóle nie dostrzegął powagi zaistniałej sytuacji, zgodził się być przesłuchanym celem poznania natury i okoliczności jego nagłej zmiany.

Tak, to prawda, przyznał, ostatnio planuje urlop, żeby spędzić więcej czasu z poznaną podczas wyjazdu na badania, a obecną w pokoju Panią Bibliotekarką. Tak, to on kupił czekoladki. Nie, nie poczęstuje nas, nawet jeśli potrzebujemy cukru do pracy naukowej. To prawda, że obecnie nie pracuje, tylko marnuje czas na czcze rozmowy, ale przysługuje mu przerwa i właśnie ją wykorzystuje. Tak, całkiem lubi poezję, szczególnie ceni sobie ostatnio Noblistkę oraz jednego poeęę od malin z początku zeszłego wieku. Spojrzeliśmy po sobie znacząco – objawy były kompletne.

Przeszliśmy zatem do analizy wydarzeń ostatnich dni. Tu było ciężiej, bo Adiunkt i Pani Bibliotekarka zasypywali nas zupełnie nieistotnymi informacjami. W dzień, kiedy na mojej tablicy napisano alarmujące wezwanie, Adiunkt znajdował się w pracy i miał na to świadków w postaci kilku osób, z którymi prowadził telekonferencję. Nie czuł się źle w żadnym momencie – a wręcz przeciwnie. Z charakterystycznych wydarzeń mógł wymienić chyba tylko generalną awarię sieci, blokującą się drzwi do kuchni, świąteczną muzykę puszczaną przez studentów (nawet zakłócenia nazwał „w pewien sposób nostalgicznymi”) oraz skrzypka z Akademii Muzycznej, grzecznościowego doktora Zanna, który nawiedził go podobnie jak mnie, w ramach swoich poszukiwań Pani Bibliotekarki. Kiedy Adiunkt odprawił go chłodno, rozpoczął pod oknem Biblioteki koncert skrzypcowy, odgrywając tam rzewne melodie, ale wkrótce przepędził go deszcz i jesienno-zimowa sęota, wbrew deklaracjom potężniejsze od się uczucia.

Poza tym Adiunkt był kilka razy w Bibliotece, pił kawę (zbadaliśmy kubek), jadł kanapki (papier śniadaniowy nadal leżał w śmietniku) oraz – w ramach pracy dydaktycznej – przeprowadził jedenasty termin zaliczenia ze Wstępu do Informatyki dla trójki niezwykle zacieętych studentów, których poprzednie dziesięć terminów nie przekonało, że w zasadzie najlepiej byłoby im gdzieś poza dziedziną. Wspomniał również o tym, że częstował się studenckimi pierniczkami z korytarza – i to zdecydowanie brzmiało jak niezwykle istotny trop. Przecież pierniczki, łatwo dostępne dla wszystkich, mogły być wręcz idealnym systemem rozprowadzania patogenu po nieświadomej kadrze. Ktoś bardzo nam niechętny mógł łatwo się do nich dostać – nikt ich wszak nie pilnował – zatrucć jakimś paskudztwem i zwyczajnie poczekać, aż lekkomyślna i nieświadoma kadra je spożyje, tym samym stając się ofiarą szalejącej choroby.

Adiunkt z Informatyki wysłuchał uważnie naszego rozumowania, po czym zdecydowanym głosem stwierdził, że nie sądzi, by to było możliwe, bo nawet przyjmując tezę o jakimkolwiek zatruciu – której uparcie nie akceptował – pierniczki winowajcami być nie mogą. Na pytanie dlaczego, zauważył, że od dwudziestu minut ja sam je chrupię i wyraźnie jestem dokładnie taki sam, jak byłem.

Zamarłem.

Rzeczywiście! W zamyśleniu co chwila sięgałem do przyniesionego talerzyka i teraz z całej górkę słodyczy pozostały na nim tylko trzy polukrowane renifery oraz sterta okruszków!

Jakże mogłem to zrobić? Jak mogło moje własne zapotrzebowanie na cukier, podstawowy obok kawy napęd dla mózgu, wpędzić mnie w pułapkę? Czy zacznę teraz mówić wierszem? Nie daj Boże – śpiewać? Zrezygnuję z pracy? Stracę perspektywę, zaczynając postrzegać życie doczesne jako coś ważniejszego niż postęę i prowadzenie gatunku ku świetlanej przyszłości?

W przerażeniu zabraliśmy talerz i wyszliśmy z pokoju, pozostawiając Adiunkta i Panią Bibliotekarkę bezsensownie zadowolonych z siebie i całkowicie bez zrozumienia dla zagrożenia, jakie nad nami wszystkimi wisiało.

Tego wieczora zdecydowaliśmy się z Administratorem pozostać na Uczelni. Ja miałem dokładnie spisywać moje myśli z każdej minuty, a Administrator obserwować zmiany i robić własne notatki. Ponuro wpatrując się w widoczny przez okna mojego gabinetu zachód słońca, wiedziałem, że być może widzę go ostatni raz jako człowiek zdrowy. Że teraz pozostała już jedynie nasza uważność w spisywaniu kolejnych minut – która mnie już nie ocali, ale być może w jakiś sposób, poprzez drobiazgowy zapis z osuwania się w przepaść, pomoże reszcie Wydziału.

Wysłałem więc żonie wiadomość, że oto ginę w służbie nauki i zasiadłem przy biurku naprzeciw Administratora sieci z przygotowaną ryzą papieru i długopisem.

Zapadała noc – być może moja ostatnia.

16.

To nie była czas, który chciałbym wspominać. Nie przez narastający lęk przed mrokiem, nie przez ulatujące z głowy równania i miłość do rządzących światem żelaznych reguł nauk przyrodniczych. Nawet nie przez widoczne w każdym notowanym słowie zmiany.

Po prostu dlatego, że i ja, i Administrator Sieci zasnęliśmy po niecałej godzinie czuwania, zupełnie nie jak bohaterowie. Teraz, obudzwszy się rano, byłem nieco zmarznięty, obolały i mocno wymięty, bolały mnie kolana i kark, a kiedy pokuśtykałem się umyć, okazało się, że w łazience była jedynie zimna woda. Dodatkowym ciosem było kilkanaście gniewnych wiadomości od małżonki, która zupełnie nie zrozumiała ani powagi sytuacji, ani ogromu mojego poświęcenia.

W zasadzie poranek przyniósł tylko jedną dobrą wiadomość – za to decydującą. Nadal byłem sobą, co oznaczało, że cokolwiek pochłonęło Adiunkta i Prodziekana – nie były to studenckie pierniczki. Pozostawiło nas to, co prawda, całkowicie bez tropów, ale za to – i bez kolejnych ofiar.

Administrator był dobrej myśli – powtarzał ciągle, że odrzucanie rzeczy niemożliwych jest kluczowym elementem śledztw i że czytał o tym w jednej książce od detektywach. Teraz pozostawało mu poszukiwane wszystkiego, co pozostało, ze szczególnym uwzględnieniem rzeczy najbardziej nieprawdopodobnych. Postawił więc kołnierz, nacisnął na głowę kapelusz, doradził mi czujność – a potem udał się na poszukiwanie dalszych śladów. Przez kilka chwil z korytarza dochodziło jeszcze jego przeraźliwe kasłanie, kiedy usiłował zapalić fajkę.

Pozostawiony samemu sobie, usiłowałem zabrać się za codzienną pracę, ale skupić nie mogłem się na zupełnie niczym. Wszystko zdawało się być dziś przeciwko mnie.

Robione zaś na szybko badania, mające wypełnić zupełnie nie przystające do obecnego kształtu projektu kamienie milowe, były, co prawda, w pewnym sensie zgodne z wizją nauki zajmującej się poznaniem świata również w aspektach mniej praktycznych, ale wymagały także kodowania, którym normalnie zajmował się w naszym zespole Szefer Projektu, Prodziekan, a w ostateczności Banaś – a żaden z nich nie był dostępny.

Jak na złość pierniczki, teraz, kiedy z narażeniem życia stwierdziliśmy już ich bezpieczeństwo, zniknęły jak sen złoty. Talerz, napełniany co rano przez tajemniczego studenta, tym razem był zupełnie pusty – wszędzie wokół pozostały jedynie rozsypane przez pierniczkowego skrytożercę okruszki.

Trzeszcząca muzyka, przerywana zamówieniami z kuchni, nadal unosiła się w korytarzach zachęcając do wzajemnej miłości oraz odbioru pierogów. Jakimś cudem zupełnie nie przeszkadzała studentom, którzy po kilku nieudanych próbach naprawy problemu interferencji przestali z nimi walczyć i teraz uważali je za wręcz zabawne – ja jednak musiałem tłumić ją wielkimi, żółtymi słuchawkami BHP.

W połączeniu z огоłoconymi z pracowników naukowych gabinetami oraz naturalnie ciągle wiszącym nad nami zagrożeniem – atmosfera pracy okazała się co najmniej trudna.

W ogólnej ponurości zupełnie nie pomógł okólnik rozesłany przez Panią Kasię – poprzez gońców, bo sieć działała jedynie w pokoju Adiunkta – informujący, że sprawa dwutorowo przydzielanego papieru toaletowego została ostatecznie rozwiązana dzięki wysiłkom Administratora Sieci (w konsultacji z doktorem Banasiem) i teraz już Wydział stanie się przykładem łazienkowej równości.

Wróciłem do domu przygnębiony i zmęczony – w dodatku natychmiast natrafiłem tam na zupełny brak zrozumienia. Moja małżonka, kiedy opisałem jej straszliwą sytuację wydziału, zamiast mi współczuć, oznajmiła, że właściwie to dzieje się dobrze. Moi szaleni koledzy bowiem, argumentowała, obok zamiłowania do poezji, muzyki i literatury nagle zaczęli myśleć o czymś innym niż tylko badania oraz projekty i zajęli się sprawami naprawdę ważnymi.

Wykazałem jej oczywiście, że się myli, i że nie ma spraw ważniejszych niż postęp. Wytłumaczyłem, że o ile jeszcze można przeboleć zhumanizowanie Adiunkta z Informatyki, bo on i tak nie zajmuje się prawdziwą nauką, to już Prodziekan jest wielką stratą – a gdybym i ja padł ofiarą tajemniczej choroby, i zamiast pracować pisałbym tylko wiersze, wypoczywał w domu i planował wycieczki celem wpatrywania się z nią w zachody słońca w egzotycznych miejscach i pisanie sonetów, nauka z pewnością ucierpiałaby potwornie. Rozpisałem dokładnie, z wykresami, wzorami i poglądowymi rysunkami, jak straszny byłby nasz świat, gdybym zajmował się głupotami zamiast mozolnym pchaniem naprzód wózka ludzkiej cywilizacji, i że jest już absolutnie wystarczającym, że nielicznymi pozostałymi głupotami – jedzeniem, utrzymaniem domu, remontami, sprawami urzędowymi, literaturą, sztuką, podtrzymywaniem kontaktu z rodziną, budżetem domowym, czystością, zdrowiem i całą resztą – zajmuje się ona.

Z jakiegoś powodu nie spotkałem się jednak z oczekiwanym zrozumieniem i tę noc spędziłem na kanapie.

I kiedy myślałem, że wobec godzącej we mnie niesprawiedliwości gorzej już być naprawdę nie może – po powrocie na Wydział dowiedziałem się, że Administrator Sieci nie przyszedł do pracy.

17.

Początkowo myślałem, że Administrator po prostu się spóźnia. Wziąłem się za pracę, nadal powolną i ciężką, i oczekiwałem aż w końcu zjawi się, by zdać mi raport ze śledztwa. Mijały jednak kolejne godziny, a jego wciąż nie było. Wreszcie, pełen obaw, udałem się do Kadr – i tam otrzymałem straszną wiadomość. Administrator Sieci zdecydował się odebrać zaległe wolne i pojechać w góry. Miał tam, jak oznajmiła zadowolona z wypełniania urlopowych rubryczek Pani Kasia, spędzić czas do końca roku, podziwiając ośnieżone szczyty i być może szkicując pejzaże.

Nie miałem cienia wątpliwości, że ktokolwiek czyhał na naszą kadrę naukową dopadł i jego; nawet jeśli nieco przestrzelił przyjmując jego naukowość, to nadal atak okazał się skuteczny.

To zabawne, jak bardzo w ekstremalnych sytuacjach zmienia się ludzkie podejście. Jeszcze niedawno prawdopodobnie nie zwróciłbym uwagi na brak Administratora, chyba, że akurat miałbym do niego konkretną sprawę. Teraz jednak – gdy młody ów człowiek był jednym z moich ostatnich towarzyszy broni w starciu z górującym nad Wydziałem zagrożeniem – sytuacja była zgoła inna. Jego utrata była bowiem kolejnym z serii potwornych ciosów zadanych Wydziałowi tego feralnego grudnia, okrutnych i podcinających naszą wiarę w lepsze jutro. Godzinę – a może i więcej – siedziałem tylko ponuro wśród notatek projektowych, okruszków po krakersach i morza kawowych kubków, zastanawiając się nad okrucieństwem otaczającego mnie świata.

Potem jednak tknęło mnie nagłe olśnienie.

Przecież Administrator nie był naukowcem. Nie był nawet niczym zbliżonym. Atak na niego nie mógł wynikać z uderzenia w najcenniejszy zasób naszej Ojczyzny – bo on nim po prostu nie był. Musiał być związany bezpośrednio ze śledztwem, które prowadził. Wyraźnie mój młody towarzysz, podążając za jakimś tropem – zapewne nieprawdopodobnym, sądząc z tego co mówił – trafił ostatecznie blisko rozwiązania sprawy. Na tyle blisko, jak się okazało, że zdecydowano się go uciszyć na zawsze, zmieniając z prostego, ale jednak Administratora, w urlopującego pejzazystę. Tak, im więcej nad tym myślałem, tym bardziej byłem pewny. To musiało być to!

Wobec tego odkrycia, uświadomiłem sobie, było absolutnie istotnym, by podjąć trop i podążać nim. Naturalnie, ostrożniej, bo choć zapewne jako prawdziwy pracownik naukowy byłem nieskończenie bardziej wykwalifikowany do starcia z niebezpieczeństwami, to jednak pamiętałem, że zagadkowa zaraza uderzyła też w ludzi mojej klasy. W zasadzie nawet robiła to częściej niż w innych, bo studenci na naszym piętrze pozostawali szczęśliwie zdrowi (choć w ich wypadku różnica byłaby zapewne niedostrzegalna).

W każdym razie – w wyniku moich przemyśleń udałem się do kanciapy Administratora Sieci i rozpocząłem poszukiwanie śladów. Nie było to łatwe – pokoik, jak wspominałem, był nieduży, ale pełen mniejszych i większych przedmiotów; jakimś sposobem absolutnie każda rzecz na Uczelni, która nie miała swojego wyznaczonego miejsca, w końcu grawitowała w jego stronę. Także więc, kiedy tylko rozpocząłem przeszukiwanie odnalazłem całe stosy na wpół zadrukowanych kartek, elektroniki w bardzo różnym wieku i stanie, starych zupek w torebkach ukrytych pod zwałami czekoladowych opakowań oraz – ku mojemu zaskoczeniu – przynajmniej kilkadziesiąt różnych klocków dla dzieci skandynawskiego producenta, a ponadto plastikowe, misternie malowane figurki. Luźne notatki dawałoby się tu gromadzić w tomy zatytułowane datami dziennymi – a pomiędzy nimi natrafiałem nawet na naprawdę miniaturowe zwoje zapisane bardzo drobnym, choć niewątpliwie azjatyckim pismem.

Taką właśnie moc miała kanciapa Administratora.

W miarę jak mijały kolejne godziny, coraz bardziej traciłem ducha i kiedy byłem już przekonany, że nie znajdę już absolutnie nic użytecznego – trafiłem na ślad. W zasadzie powinienem był zobaczyć go wcześniej, zwłaszcza, że wyglądał bardzo charakterystycznie – a może to właśnie dlatego uznałem go zrazu za jeden wielu znajdujących się tu cyfrowych opisów nieznanymi mi osobom zajmujących się wyraźnie działalnością przestępczą (jedna z nich wprost opisana była jako „złodziej”, inna jako „nekromanta”).

Misternie zrolowany kawałek papieru, na którym ktoś wyraźnie wykaligrafował pędzelkiem zdanie „Jeśli chcesz zdemaskować wrogów co sieją zepsucie pośród twego ludu – zjaw się pod ruchomym domem za spichlerzem twojej uczelni”.

Przeczytałem tekst raz i drugi – to musiało być to. To ta wiadomość doprowadziła Administratora

Sieci do podążenia tropem, który okazał się jego ostatnim. To jej autor zwabił go w zasadzkę. I choć byłem niemal pewien, że miejsce, o którym wspominała mogło być nadal szalenie niebezpieczne, wiedziałem, że nie mogę jej zignorować. Ostatecznie, być może tam kryło się rozwiązanie tej strasznej sprawy.

I tak, niechętny, pełen obaw, lecz i determinacji, wybrałem się pod przyczepę z kebabami za stołówką, do królestwa Kebabowego Sułtana Uczelni.

18.

Osoba Kebabowego Sułtana Uczelni jest postacią jednocześnie tragiczną i w pewien sposób ilustrującą potężnego ludzkiego ducha. Sułtan, właściciel przyczepy, oryginalnie pochodził z dość odległej od nas Religiokracji, gdzie służył nauce w sposób zdecydowanie bardziej bezpośredni niż teraz – jako fizyk jądrowy, podobno całkiem zdolny. Byłby zapewne odnosił niesamowite wręcz sukcesy w tej dziedzinie, ale tak się jednak składało, że jego rodzinna Religiokracja, o ile całkiem dobrze radziła sobie z inwestowaniem w fizykę właśnie, o wiele gorzej wyglądała na polu dyplomacji. Jedną z jej decyzji – jak się okazało, dla Kebabowego Sułtana kluczową – było bardzo zdecydowane i wrogie stanowisko wobec Przyjaznego i Niewielkiego Kraju w okolicy, przypadkiem niezwykle ważnego sojusznika Zamorskiego Mocarstwa (obecnie zresztą bardzo zaprzyjaźnionego również z nami). Tak jakoś wyszło, że niewątpliwa miłość Przyjaznego i Niewielkiego Kraju do nauk ścisłych, szczególnie rozciągała się na jądrowy program Religiokracji. Ich dyplomaci twierdzili, że Religiokracja nie jest jeszcze gotowa na tak poważne badania i nie powinna ich prowadzić, w pewnym momencie wręcz sugerując, że ta linia kariery w kraju o tak słabo rozwiniętym BHP jak ojczyzna Sułtana to w zasadzie prośenie się o zupełnie zbędne ryzyko dla jego niezwykle zdolnych naukowców.

Coś w tym musiało być, bo wkrótce potem okazało się, że praca fizyka nuklearnego w Religiokracji stała się faktycznie bardzo niebezpieczna. Profesję i badania z nią powiązane co rusz zaczynały trapić dość nieszczęśliwe wypadki, które pochłonęły nie tylko laboratorium Sułtana, ale i kilkunastu scholarów – których wyraźnie faktycznie niezbyt jasno sformułowane zasady BHP doprowadziły do problemów z pędzącymi samochodami, spontanicznymi eksplozjami, chorobami, stratowaniem przez stado słoni czy pożarciem przez zupełnie losowego tygrysa.

Kebabowy Sułtan Uczelni był, jak wspominałem, całkiem zdolnym fizykiem, co sprawiło, że w pewnym momencie uznał, że rachunek prawdopodobieństwa wyraźnie nie jest po jego stronie. Zdecydował się na radykalny krok – wyjechał mianowicie z Religiokracji, pozostawiając po sobie jedynie liścik mówiący, że fizyka jądrowa w zasadzie zupełnie mu zbrzydła i postanowił szukać innej ścieżki gdzieś zupełnie indziej. Jak się zapewne domyślacie tym „zupełnie gdzie indziej” okazała się być moja Ojczyzna, a konkretnie stołówka Uczelni. Tu Były Fizyk Jądrowy, a przyszły Kebabowy Sułtan Uczelni, postawił swoją przyczepę, w której planował wieść proste i bezpieczne życie pośród gorących blach i ostrzy, poświęcone obsłudze mobilnej butli gazowej – serwując kebab właśnie, danie uniwersalnie kojarzone z geograficznymi okolicami Religiokracji.

Początkowo wielu zastanawiało się, jak mógł odnieść sukces operując w bezpośrednim pobliżu stołówki, która w sposób oczywisty, nawet z nazwy stanowiła dla niego konkurencję. Ale okazało się, że Kebabowy Sułtan dobrze przeprowadził swoje badania terenowe. Odkrył podczas nich trzy istotne fakty. Po pierwsze, studenci absolutnie kochali zawinięte w pszenne placki smakołyki, o wiele bardziej niż jedzenie ze stołówki, co prawda pożywne i zdrowe, ale stanowiące efekt stale toczącej



się bitwy pomiędzy naszym genialnym składem kucharskim a stale malejącymi dotacjami. Po drugie, ci sami studenci często bywali głodni w porach, które tradycyjnie nie były powiązane z godzinami otwarcia stołówki. Po trzecie wreszcie, kampus w ogólności, a stołówka w szczególności, znajdowały się dokładnie na drodze pomiędzy centrum miasta i znajdującymi się tam klubami studenckimi, a akademikami.

Sułtan - Były Fizyk (ale czy ktokolwiek kiedykolwiek może przestać być fizykiem, gdy już raz nim był?), wyposażony w tę wiedzę oraz determinację osiągnięcia szczytu kariery, tam właśnie budował swoją domenę, w ciemności nocy oraz pośród kłębow dziwnie pachnącego dymu, unoszącego się wokół studenckiej braci. I odniósł sukces. Jego przyczepiane imperium szybko stało się stałym elementem kampusu i nawiązało nawet ostrożne stosunki dyplomatyczne ze stołówką, w tym pracującym tam kucharzem z Przyjaznego i Niewielkiego Kraju. Kebabowy Sułtan wykazał tym samym, że dobre jedzenie i należyty fundament naukowy stanowi często przygotowanie do porozumienia zwyciężające polityczno-gastronomiczne układy.

Do królestwa Sułtana udałem się zatem tego wieczora, wprost pod formujący się w zgrabną kolejkę tłumek. Wokół brzmiała świąteczna muzyka, grana z nagłaśniających kolumn na słupach. Na ile pamiętałem, ustawiono je w juwenalia a potem, z jakiegoś powodu, nie usunięto, w wyniku czego stały się naturalnym, choć umiarkowanej jakości, systemem nagłaśniającym Uczelni.

Kebabowy Sułtan powitał mnie z entuzjazmem, jaki tylko jeden naukowiec może okazywać drugiemu (o ile ten nie zagraża jego własnemu ego), i zapytał w czym mi może pomóc. Kiedy wyjaśniłem o co chodzi, bez trudu przypomniał sobie Administratora Sieci. Powiedział, że istotnie nasz pracownik był tu wczoraj w nocy. Odziany w prochowiec i kapelusz, kontynuował, kręcił się wśród studenckiej braci. Nic nie kupił, co w pewien sposób godziło w poczucie misji Kebabowego Sułtana, ale był uprzejmy i spokojny, a to zdecydowanie stawiało go w czołówce wieczornych klientów.

Sułtan dokładnie opisał, jak próbował z nim rozmawiać poprzez muzykę serwowaną przez - wyraźnie równie trzeszczące jak nasze - nagłośnieniowe kolumny, i o tym, jak ten wypytywał o nietypowych gości tego wieczora lub kogoś, kto mógł zostawić dla niego wiadomość. Ja jednak nagle zorientowałem się, że w ogóle go nie słucham.

Istnieją momenty w życiu każdego śledczego, kiedy spływa nań olśnienie nagłego tropu, świadomość, że właśnie odkrył coś, za czym bezwzględnie powinien podążyć. Często takie momenty powiązane są z jakimś pozornie całkowicie niewinnym spostrzeżeniem, które w normalnej sytuacji można by przeoczyć - ale czujne zmysły detektywa nakierowują się na nie niczym radar i całkowicie wyłączają postrzeżenie czegokolwiek innego.

W moim wypadku spostrzeżenia te były dwa. Pierwszym była książka, zawierająca zebrane dzieła naszego Narodowego Wieszczka. Drugim był fakt, że Kebabowy Sułtan Uczelni mówił wierszem.

19.

Kiedy tylko spostrzegłem zarówno sposób wysławiania się Kebabowego Sułtana Uczelni, jak i jego dobór lektur - oba całkowicie nowe - muszę przyznać, zamarłem w nagłym przerażeniu. Zrozumiałem bowiem, że jeżeli ten nieszczęsny człowiek również stał się ofiarą ataku, nie mając wszakże zupełnie nic wspólnego z naszym Wydziałem, mieliśmy do czynienia z zagrożeniem wykraczającym poza Uczelnię. To, co zdarzyło się Prodziekanowi, Administratorowi i Adiunktowi, i bogowie wiedzą komu jeszcze, mogło spotkać każdego.

Nie, że przesadnie wielu osobom by to jakoś szczególnie zaszkodziło. Ale chodziło o zasadę.

Trzeba było działać szybko. Chytrze niczym lis zapytałem więc mojego rozmówcę – wyraźnie nieświadomego swojej przypadłości – kiedyż to zaczął on czytać Narodowego Wieszcza, zainteresowania którym próżno byłoby szukać w jego zwykłym Sułtańsko-Fizycznym sposobie bycia. Ten, jakby zaskoczony pytaniem, zastanowił się chwilę. Odruchowo sięgnął ku antykwarycznemu wydaniu leżącemu spokojnie pomiędzy pojemnikiem na sałatki i sosem czosnkowym. Przekartkował je powoli, uśmiechając się bezwiednie do pojedynczych fragmentów, wyrecytował coś bezgłośnie szeptem, dodał z westchnieniem zagadkowe „Ach, te mrówki!”. Przez chwilę myślałem, że go straciłem, ale już zaraz zamknął dzieło i odłożył je uważnie, przecierając uprzednio stalowy blat papierowym ręcznikiem.

W istocie, przyznał z namysłem, ostatnio bardziej interesują go takie sprawy i w zasadzie poważnie rozważał zagłębienie się w poezję. Po prostu, wytłumaczył z prostotą, pewnego dnia coś go tknęło, by po nią sięgnąć i ujęła go zarówno misterna harmonia słów, jak i patriotyczna głębia przekazu. Dodał jeszcze coś o dotknięciu przez Wieszcza samego środka jego, ogarniętej wszak tęsknotą za własną ojczyzną, duszy.

Jeśli wcześniej miałem silne podejrzenia, że dotknęło go szaleństwo – teraz byłem tego pewien.

A czy, spróbowałem, jego nagła tęsknota za duchowymi uniesieniami powiązanymi z lekturą o wzajemnej niechęci fikcyjnych ziemiańskich rodów na zdobionej bursztynowym świerzopem prowincji, była powiązana z jakimkolwiek innym wydarzeniem? Na przykład, zjedzeniem czegoś nieświeżego lub nawdychaniem się oparów, albo, nie dajcie bogowie, uszczerbku na zdrowiu, powiązanego z pechem ścigającym niestrudzenie osoby jego byłej profesji?

Nie, odparł on, nic takiego się nie zdarzyło. Ani wypadek, ani wyziewy, ani w żadnym wypadku – co powtórzył kilkakrotnie z naciskiem i bardzo głośno, tak by poza mną usłyszeli to również otaczający przyczepę studenci – spożycie niezdrowego jedzenia, gdyż wszystko co jadł lub przygotowywał Kebabowy Sułtan było w sposób oczywisty smaczne i zdrowe, co potwierdzały liczne inspekcje i certyfikaty.

Ale, po namyśle, podczas którego czekałem z napięciem stopniowo tracąc już nadzieję, przyznał, że było coś innego. Otóż do nagłej chęci do zbadania swej artystycznej wrażliwości zachęciła go chyba muzyka. To ona, jak powiedział, swą słodką melodią dotknęła jego serca i nakazała mu poszukać innych, podobnych uniesień.

Spojrzałem niezbyt pewnie na kolumnę nagłaśniająca, z której teraz, wśród trzasków zakłóceń, dobiegała skoczna piosenka jakiegoś artysty zza Wielkiej Wody – o wyraźnie traumatyzujących i bardzo osobistych wydarzeniach z poprzednich świąt, którymi chciał się podzielić ze wszystkimi słuchaczami, traumatyzując swoją aproksymacją talentu z kolei ich.

Tak, podchwycił mój rozmówca podążając rozentuzjasmowanym wzrokiem za moim spojrzeniem. Normalnie istotnie głośnik emituje tylko podobną do tej muzykę – a czasem, podobnie jak na Wydziale, wyjątki z komunikatów stołówki – lecz nie tak dawno puszczono coś innego, nowego i całkowicie poruszającego. Coś, co kazało mu zwątpić w jego technokratyczne i postępowe spojrzenie na rzeczywistość, mimo, że w sposób oczywisty zaprowadziło go na szczyty kebabowej kariery, odrzucić zimną i twardą naukową, suchą i plugawą, analizę, plwać na zimną skorupę bezdusznej nauki i sięgać do głębi, ku wewnętrznemu ogniewi. Być może nawet, dodawał, przekwalifikować się w ogóle i zostać artystą.

Słuchałem go z rosnącą, pełną obrzydzenia fascynacją. Jego upadek był absolutnie jasny, gdyż tylko

człowiek właśnie upadły wybierze mgliste i nieco rozmijające się z sensem przemyślenia poezji nad jasne i precyzyjne równania świata fizyki oraz ścisłą sztukę warzenia sałatek i czosnkowego sosu. Niósł też dla mnie pierwszą tego dnia prawdziwie użyteczną informację. Poznałem bowiem swojego wroga – a była nim dobiegająca z nagłaśniającego zestawu muzyka. Wiedziałem, że musi to być to – to ona pochłonęła najpierw pracowników naszego Wydziału – zapewne podstępnie uderzonych przez przebijające się pośród świątecznych piosenek studentów dźwięki. To ona zamieniła ostry i precyzyjny umysł Kebabowego Sułtana Uczelni w rozmyty poetycki twór. To na nią wreszcie trafił Administrator Sieci, czekając tu na swojego informatora, zupełnie nieświadom, że tuż nad nim zwieszają się olbrzymie czarne jak noc głośniki, niczym wymierzona weń lufa pistoletu.

To ona wreszcie teraz groziła i mnie.

Przerażony, zatkałem uszy i pobiegłem, byle dalej od tego przebrzydłego narzędzia zagłady, porzucając obrzydliwie szczęśliwego Sułtana nadal wpatzonego w dzieło Wieszcza. Wiedziałem przecież, że w chwili obecnej nic nie mogę dlań zrobić.

Uspokoiwszy się nieco, dwie ulice dalej, które nie tylko były w mojej obiektywnej ocenie wystarczające dla zapewnienia bezpieczeństwa, ale stanowiły też absolutny limit tego, co byłem w stanie przebiec w panice bez utraty przytomności, zacząłem tworzyć plan działania.

20.

Moją pierwszą myślą był, oczywiście, atak na nagłaśniające kolumny. Ich zniszczenie w sposób naturalny ograniczyłoby siłę rażenia muzycznego patogenu. Być może, dumałem, gdyby pozbyć się nagłośnienia przy stołówce i w jakiś sposób zniszczyć głośnik studentów na Wydziale (co i tak w zasadzie od jakiegoś czasu chciałem zrobić), udałoby się uzyskać względne bezpieczeństwo, może nawet na stałe?

Szybko jednak zrezygnowałem. Bo czy mógłbym wtedy spokojnie spojrzeć w oczy poległym? Tym, którzy zostali podstępnie zaatakowani i zatruci podstępną humanistyczną myślą, którzy teraz miast iść w awangardzie ludzkości, siedzą gdzieś w górach patrząc na wschód słońca i, z winy obcej toksyny, zmuszeni są do tworzenia wierszy? Sułtanowi, który porzucił podręcznik fizyki na rzecz literackich wynurzeń Wieszcza o szlachecko-damsko-mrówczych wojnach?

No przecież nie. Musiałem odkryć źródło zarazy i bezwzględnie je wyeliminować. Dla bezpieczeństwa innych. (Jeżeli polegnę, chciałbym, by ktokolwiek odnajdzie tę część moich notatek podał ją do informacji publicznej – najlepiej w jakiś nienachalny acz możliwie szeroko dostępny sposób. Na pamiątkę mojej bezinteresownej odwagi).

Wiedząc już, że trzeba działać, szybko zaplanowałem swoje pierwsze kroki – musiałem odnaleźć przede wszystkim tych, którzy wiedzieli cokolwiek więcej o doborze repertuaru do przebrzydłych głośników. Tam musiała kryć się tajemnica zbrodniarza.

Uzbrojony w nowy plan, świeżą pewnością siebie i determinacją wyruszyłem ku jego realizacji. To znaczy – wtedy wyruszyłem do domu, bo był już wieczór. Tam – zdeterminowany, choć markotny – natychmiast starłem się z rozwścieczoną połowicą, znacząco wskazującą palcem na ścienny zegar. Na nic były moje próby wytłumaczenia jej, że zajmowałem się ważnymi sprawami, w ogóle po ostatniej rozmowie określenie „ważne sprawy” zdawało się tylko ją rozdrażniać. Nadal w ogóle nie rozumiała powagi sytuacji. Powiedziała zdecydowanie, że trzyma kciuki za straszliwą, zmieniającą

umysł muzykę, bo może i mnie by trafiło, tym samym... No, w każdym razie uważała, że byłoby lepiej.

Wrogowie, jak widać, otaczali mnie zewsząd.

Następnego poranka, na Wydziale swoje kroki skierowałem, z pewną niechęcią, ku pokojom zajmowanym przez studentów. Wiedziałem, że często przesiadują oni w okolicach stołówki, a tym samym mogą coś wiedzieć o granej tam muzyce. Wiedzieli, jak to studenci, niewiele, ale byli w stanie powiedzieć mi, gdzie znajduje się centrala radiowęzła. Był to pierwszy punkt mojej długiej i frustrującej podróży poprzez tkaninę administracyjno-organizacyjnego bytu uczelni.

We wskazane miejsce udałem się niezwłocznie – tylko po to by odkryć, że jest zamknięte (i opatrzone napisem „pomieszczenie gospodarcze”). Stamtąd przemieściłem się więc ku rektoratowi, gdzie z kolei poinformowano mnie, że Uczelnia nie ma czegoś takiego, jak radiowęzeł i ktokolwiek twierdził cokolwiek innego, nie wiedział o czym mówi. Sekretarz kategorycznie odmówił przyjęcia do wiadomości faktu, że odgłosy trzeszczących głośników słyhać było nawet w samym rektoracie. Ot, powiedział, pewnie jakaś oddolna inicjatywa, a tymi rektorat się nie zajmuje. Jeśliby jednak było coś takiego – powiedział mi, widząc moją narastającą frustrację – prawdopodobnie należałoby szukać w dziale technicznym. Dział ten stanowił niewielką wypełnioną narzędziami kanciapę w piwnicy przy kotłach, w której powinien rezydować konserwator, ale nie rezydował, ponieważ zajęty był bieganiem po całym kampusie, reperowaniem usterek i unikaniem przyjmowania kolejnych zgłoszeń, których długa lista przekraczała już objętość całkiem solidnego tomiszcza. Znalazłem go – z dużym trudem – podczas walki z gigantyczną płataniną kabli oznaczonych jako „niebezpieczeństwo – wysokie napięcie” – ale i on nie potrafił mi pomóc. Dział techniczny nie zajmuje się radiowęzłem, powiedział i zajmować radiowęzłem się nie zamierza. Ale być może powinienem spróbować w uczelnianej bibliotece, bo głośniki przy stołówce były zinwentaryzowane właśnie na bibliotekę, zatem może oni mogli coś wiedzieć.

Informacje, że same głośniki mają chyba jakieś problemy techniczne pan konserwator powitał zupełnie bez entuzjazmu, mrużąc tylko coś w rodzaju „nie ma zgłoszenia – nie ma usterki” oraz że obecnie jest zajęty, po czym znów zanurkował pomiędzy kable.

W ten sposób trafiłem więc do biblioteki, a potem kolejno do działu imprez kulturalnych (zupełnie pustego, bo do juwenaliów było daleko), siedziby chóru, z jakiegoś powodu archiwum akt tajnych, magazynu oraz budki portiera.

Ostatecznie skierowano mnie do samorządu studenckiego, a tam już bezpośrednio do młodego wytatuowanego człowieka w powyciąganej bluzie, wpatzonego w ekran komputera. On to był w stanie udzielić mi odpowiedzi. Tak, przyznał, przy stołówce istniały głośniki i tak, to on – jako jednoosobowy zespół studenckiego radiowęzła – puszczał przez nie muzykę. W pomieszczeniu radiowęzła nie przebywał natomiast ze względów bezpieczeństwa. Zapytany przed czym właściwie musiał się chronić – zaśmiał się ponuro, po czym spojrzał na mnie niczym na osobę całkowicie nieświadomą, jak wygląda rzeczywistość. Ponieważ jednak zupełnie w niczym to nie pomogło, wyjaśnił, że kryje się tu przed muzycznym totalitaryzmem, reprezentowanym przez przedstawicieli wieloliterowych agencji chroniących prawa muzyków. Agencje te, jak się okazywało, nie szczędząc środków i determinacji ściagały każdego, kto puszczał utwory gdziekolwiek poza zamkniętą i dźwiękoszczelną komórką, najlepiej bez żadnych słuchaczy, a gdy już go schwytały – wlepiały mu astronomiczne grzywny, z których symboliczna kwota trafiała do pokrzywdzonych muzyków, większość natomiast pompowana była w jeszcze skuteczniejszy aparat do ścigania niepokornych. Dlatego jego stanowisko, centrala muzycznej rewolucji, która poprzez emisję popularnych utworów zmieni świat na lepsze, było tak trudne do odnalezienia.

Te słowa wzbudziły we mnie isticie profesorską furję. Dobre sobie, ryknąłem nań wielkim głosem.

Trucie moich współpracowników nazywał zmienianiem świata na lepsze - był tak samo niemądry jak szkodliwy! Tak się kończy powierzanie czegokolwiek studentom! Zdrajca i truciiciel!

Lider muzycznej rewolucji, przerażony i zaskoczony nagłym wybuchem, wyraźnie nie wiedział o co mi chodzi. A kiedy wyjaśniłem, natychmiast zapewnił mnie, że nie ma z jakimkolwiek truciem nic wspólnego. Głośniki bowiem - wszystkie głośniki - padają co i raz ofiarą dziwnych zakłóceń obecnych na terenie kampusu. On sam, rewolucjonista, a nie technik, nie wiedział o nich za wiele, ale czasem objawiały się one charczeniem, czasem ogłoszeniami ze stołówki, a czasem przebiciami z radia. Myślał nawet, dodał, żeby zgłosić to w dziale technicznym, ale tam nigdy nikogo nie udało mu się spotkać, zatem problem trwał.

Wyglądał przy tym na tak bezradnego i załamane, że byłem skłonny mu nawet uwierzyć - ale to oznaczało, że znów znajduję się w punkcie wyjścia. Zanim jednak zdążyłem się tym załamać, zupełnie niespodziewanie, wytatuowany rewolucjonista dostarczył mi nowych rewelacji.

„Może ma pan na myśli te skrzypce?“, powiedział nieśmiało, a kiedy zapytałem, opowiedział, że co jakiś czas pośród zakłóceń występują przebicia - prawdopodobnie - z jakichś treningów na Akademii Muzycznej. Są to bardzo liryczne utwory na skrzypcach, piękne i nostalgiczne.

Nagle wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce. Ciosy wymierzone w nasz Wydział, skrzypce, Akademia Muzyczna - wszystko stało się jasne. W każdym razie, mniej więcej. Gdybym pomyślał dłużej, zapewne zakwestionowałbym moje szybkie przejście do wniosków. Znałem bowiem - i to dość przypadkiem - jednego tylko skrzypka, co mocno zawężyło potencjalne grono podejrzanych. Wtedy jednak, moje rozumowanie było dla mnie odkrywcze i błyskotliwe, a co więcej, prowadziło wprost ku podejrzanemu. I był nim grzecznościowy doktor Zann.

21.

Sam nie wiem, co myślałem podążając szybkim krokiem w kierunku złowrogiego gmachu Akademii Muzycznej, siedziby skrzypcowego arcyłotra, całkowicie niepomny na czekające mnie zagrożenia. Wiem natomiast, że wypełniał mnie słuszny gniew. Wiedziałem już wszystko.

Zann w sposób oczywisty musiał być wściekły ze względu na badania, które zarządziła Pani Kasia. To one sprawiły, że Adiunkt Informatyki, nagle podbudowany zaświadczeniem o swoim zdrowiu i tężyźnie, uderzył do Pani Bibliotekarki (zwanej również Anetką) i został zaakceptowany. Zann dowiedział się o tym - i dlatego trafił na wydział. Tam potwierdził swoje podejrzenia i odkrył - zapewne - że romans był możliwy tylko dlatego, że Adiunkt, choć informatyk, otarł się jednak o absolut, jakim była prawdziwa fizyka. Sam grzecznościowy doktor, wiedząc oczywiście, że nigdy nie będzie w stanie choć zbliżyć się do prawdziwego piękna nauki, musiał zapalać gwałtowną nienawiścią do wszystkich wystarczająco pojętnych, by to zrobić. Zapewne wtedy uknuł swój diaboliczny plan - skoro on nie mógł być prawdziwym doktorem, to nikt nim nie będzie.

Trudno powiedzieć, jak udało mu się stworzyć melodię, sprawiającą, iż całkiem zdrowi ludzie zmieniali się w humanistów. Byłem przekonany, że to absolutnie niemożliwe. Fakty jednak mówiły same za siebie, a potwierdzały liczne ofiary w postaci Prodziekana, Adiunkta, Administratora Sieci, a nawet Kebabowego Sułtana Uczelni. Jakimś cudem muzyka grzecznościowego doktora Zanna otwierała przed słuchaczami drzwi do samego dna piekła.

I to ja musiałem ją powstrzymać. Przekraczając przeszkłone drzwi wiodące do wnętrza Akademii

myślałem już tylko o tym, za nic mając sobie i potencjalnie wrogi teren, i zagrożenia płynące z samej muzyki. Jak miała pokazać przyszłość – niesłusznie.

Samego Zanna nie było trudno znaleźć. Arcyłotr nie poczynił nawet wysiłku, by jego nazwisko zniknęło z notatek portiera. Ten, mocno zaskoczony, zarówno moją obecnością, jak i wzburzeniem, od razu skierował mnie ku ponurym korytarzom wydziału instrumentalnego i mieszczącej się w nim katedry skrzypiec. W istocie, miejsce przypominało to bardziej katedrę w sensie architektonicznym niż naukowym (czemu w sumie być może nie powinienem się dziwić). W wysokich, rozbrzmiewających echem korytarzach starego gmachu, panował półmrok oszczędnościowego użycia żarówek, cienie zalegały w kątach i pod sufitem. Ze ścian spoglądali na mnie surowym i groźnym wzrokiem pradawni muzycy, ani chybi ideologiczni przodkowie zbrodniarza, z którym szedłem się rozliczyć. Gdzieś w tle rozbrzmiewały smutne nuty smyczkowego zawodzenia. Co jakiś czas mijali mnie jacyś studenci, mocno ściskając futerały na instrumenty i grube pliki niezrozumiałego dla mnie zapisu nutowego. Zrozpaczeni i pozbawieni nadziei, wszak musieli już orientować się, że wpadli w zasadzkę Akademii, że mimo długich lat ćwiczeń, żaden z nich prawdopodobnie nie dostąpi światowego uznania i szacunku, że dali swą duszę pożreć muzyce. Że niezależnie od własnego talentu (choćby i źle ukierunkowanego) wyniosą z własnego poświęcenia tylko ciasne biurka i małe gabinety w trzewiach tego ponurego bastionu, wieczną służbę ponuremu panu, jakim bez wątpienia był Zann, oraz długie, bezskuteczne próby osiągnięcia międzynarodowej rozpoznawalności mimo braku siły przebicia, skostniałej struktury środowiska, drogiego sprzętu i pieniędzy na międzynarodowe zjazdy.

Nie to, co po mojej ukochanej fizyce.

Gabinet grzecznościowego doktora Zanna znajdował się na końcu korytarza, za kotłownią i magazynem na szczotki. Drzwi nie były zamknięte, więc wkroczyłem tam zamaszystym krokiem i zamarłem w ponurej zgrozie.

Pomieszczenie było niewielkie i puste – nie było tu ani samego Zanna ani choćby jego skrzypiec. Światło z niewielkiego okna wychodzącego na dziedziniec pozwalało dojrzeć małe odrapane biurko oraz ulubioną w świecie akademickim szafę z wbudowaną umywalką. Na samym biurku leżała nadjedzona kanapka z serem oraz kilkanaście książek. Książki leżały również w kilku równych stosach na podłodze, a w kącie znajdowało się krzesło oraz stojak na nuty. Ale to nie było wszystko. Moje bystre oko dostrzegło również dziwną konstrukcję, najbardziej chyba przypominająca miniaturowy radioteleskop – o ile słowem „miniaturowy” można było określić maszynę sięgającą mi niemal do pasa. Przewidziane do obsługi przez niewielkie rączki panele kontrolne wypełniały malutką sterownię, a na talerzu anteny ktoś wymalował wielką czerwoną gwiazdę.

Zmarszczyłem brwi i podszedłem do konstrukt – był najwyraźniej zrobiony z resztek kabli i części podwieszanych sufitów oraz luźnych fragmentów elektroniki. Gdzieś tam całość trzymały konopne sznurki, gdzie indziej taśma klejąca. Na progu niewielkich drzwiczek prowadzących do wnętrza ktoś porzucił niewielką wojskową czapkę z czerwoną gwiazdką oraz, z jakiegoś powodu, wystawił dwie małe butelki na mleko.

Zastanawiałem się właśnie, co mogło to wszystko oznaczać, kiedy usłyszałem trzaśnięcie drzwi i obróciłem się gwałtownie.

Naprzeciw mnie stał doktor Zann.

Trudno wyrazić słowami falę uczuć, która ogarnęła mnie, kiedy zobaczyłem ponownie osobę odpowiedzialną za tak straszliwe straty na naszym wydziale. Żarliwa niechęć do przebrzydłego wroga mieszała się we mnie z pogardą dla jego tchórzliwego ciosu zadanego nauce, satysfakcją, że oto śledztwo doprowadziło mnie w końcu do celu, i wreszcie – lęku, co stanie się w najbliższych minutach.

Zann wyglądał nieco inaczej, niż go zapamiętałem. Nadal miał oczywiście chuderławą sylwetkę, zmierzwione i rozczochrane włosy, bladą cerę, nadal w jego oczach płonął ogień natchnienia. Lecz nawet w oparach gniewu widziałem w nim również pewne zmęczenie i zrezygnowanie – samotna walka ojczyźnianą nauką wyraźnie niosła ze sobą potężny koszt. Grzecznościowy doktor spojrzał na mnie wyniośle i powoli zamknął za sobą drzwi do gabinetu.

„Ha!” krzyknąłem zwycięsko. „Mam cię, łotrze!”

Po prawdzie, nie bardzo wiedziałem, co powinienem zrobić dalej. Profesorska powaga – i, mimo potwierdzonej dokumentem ze szpitala idealnej sprawności fizycznej, ogólne nieprzygotowanie bojowe – nie pozwalała mi na swobodne rozpatrywanie bójki z niewątpliwie zawodowym złoczyńcą. Poza tym – co powiedzieliby studenci? Nie wiedziałem też tak naprawdę, co w ogóle w tej sytuacji zrobić można. Trochę liczyłem, wspominając nieco stare kryminały, że ugodzony błyskotliwością mojego śledztwa Zann sam podda się i zaniecha procederu, a może i odczyni dokonane zło.

Sam skrzypek pokiwał powoli głową, spojrzał na mnie jakoś tak smutno, a potem przemierzył bez słowa pokoik (co przy jego rozmiarze – pokoiku, nie Zanna – było nieprawdopodobnym napięciem definicji słowa „przemierzył”) i stanął pomiędzy miniaturowym radioteleskopem, a swoim stojakiem na nuty.

Tak, powiedział wreszcie, głosem zachrypniętym i jakimś takim zgaszonym. Mam rację. Był łotrem i teraz stał naprzeciwko słusznego gniewu i jak najprawdziwszych oskarżeń. Po czym opowiedział mi wszystko.

Zann przyjął wizytę na Wydziale tak ciężko, jak tylko mógł to zrobić odrzucony artysta. Cios, jaki bezwiednie zadała mu Pani Bibliotekarka-Anetka, powalił go na kolana i zepchnął w otchłań rozpacz. Nie potrafił zrozumieć, jakim cudem to, że widział się z nią już kilkakrotnie, z czego więcej niż raz został nawet zauważony oraz, że aż dwukrotnie niemal już odezwał się do niej, by wyznać gorejące w nim uczucie, nie było dla niej wystarczającym sygnałem by dostrzegła ów niszczycielski afekt – i wybrała innego, w dodatku, jak dodał ku mojemu oburzeniu, tak bezduszną maszynę do równań, jaką był Adiunkt Informatyki.

Grzecznościowy doktor wrócił więc do ponurych kazamatów Akademii Muzycznej, by rozpacz i tworzyć sztukę, która – jak wiadomo – najlepiej kwitnie na solidnym podłożu tragedii, szaleństwa i rozpacz. Dysponując kompletem wszystkich trzech, Zann liczył, że choć niewątpliwie umrze samotny i porzucony w ciągu co najwyżej tygodnia, jego twórczość będzie przynajmniej rezonowała przez wieki w sercach mu podobnych straceńców.

Dopiero potem stwierdził, że przecież nie może.

Uświadomił sobie, że Pani Bibliotekarka, choć jej płoche serce wybrało Adiunkta, wkrótce z pewnością zacznie cierpieć, stojąc naprzeciw muru całkowitego braku jakiegokolwiek uczuciowości czy romantyzmu partnera, które Zann, wyraźnie nieświadom perfekcyjnie działających związków prawdziwych ludzi nauki uważał za niezbędne do szczęścia. I, kiedy tylko to stwierdził, postanowił jej pomóc, choćby i bezpośrednim dostarczycielem jej pomyślności miał być przebrzydły Adiunkt. I

właśnie ta pomoc doprowadziła go na dno otchłani zła i szaleństwa.

Początkowym jego pomysłem było skomponowanie serii utworów, które mógłby wygrywać w okolicy Adiunkta, by ich rozdzierającym pięknem obudzić w jego sercu choć trochę romantyzmu i zamiłowania do poezji i sztuki, które następnie tenże Adiunkt przekuje (w jakiś nieznanym mi sposób) w bycie ogólnie lepszym partnerem i, być może, zapewnienie radości i szczęścia Pani Bibliotekarce. Stanął jednak naprzeciw dość znaczącego problemu. Otóż, będąc przede wszystkim ekspertem od historii muzyki i technicznym wirtuozem samej gry – a nie kompozytorem – mimo całej swej determinacji nie potrafił napisać utworu, który rozdzierającym pięknem zrobiłby cokolwiek. A nawet i osiągnięcie całkowicie bezczynnego rozdzierającego piękna, było dlań przeszkodą niełatwą do sforsowania.

Opowiedział mi, ponuro zafascynowanemu historią o narodzinach zła, jak miotał się po swoim gabinecie przeklinając, że brak natchnienia nie pozwala mu na zrealizowanie zadania tak ambitnego – i, w jego mniemaniu, podniosłego – teraz kiedy jego muza wybrała innego.

I wtedy okazało się, że natchnienie nadeszło.

Początkowo objawiło się ono w formie delikatnych głosów na krańcu świadomości, pełzających w jego umyśle na samych pograniczach zrozumienia. Mówiły one o konieczności działania, o wadze jego misji teraz, gdy został porzucony sam ze swym nieszczęściem. Grzecznościowy doktor nie był nawet pewien, czy faktycznie je słyszy, czy też były to jego własne przemyślenia, które z jakiegoś powodu miotały się mu w umyśle wypowiedziane szeleszczącym szeptem o obcym akcencie. Potem nadeszła muzyka. Zann początkowo sądził, że nowe nuty na partyturze tworzył sam w twórczym szaleństwie, że nieświadomie tworzył zapis melodii. Że kiedy spoglądał nań i widział jego zagadkowy rozrost, był to po prostu efekt działającej nań zupełnie poza jego świadomością inspiracji, a krótkie zapiski w obcym alfabecie są po prostu obrazkami. Szybko jednak zorientował się, że nie pochodzi ona wyłącznie od niego, że stoi za nią jakiś obcy zagadkowy byt.

Spróbował odegrać ją na skrzypcach – i jego samego napełniła ona dziwną grozą pomieszaną w zagadkowy sposób z melancholią. Nie były to dźwięki straszne, bynajmniej, ale brzmiące dziwną wibracją niespotykaną na ziemskim globie. Była absolutnie piękna, dziwnie przerażająca, z pewnością stanowiła jego największe dzieło. I miała moc zmieniania ludzi.

Naprzód, naprzód, szeptały głosy rozbrzmiewające wtedy, jakby wszędzie wokół. Niech płynie w świat, niech zmienia go na nowe! Więc grał i grał i grał, wypełniał ponure hole gmaszyska Akademii nowymi, obcymi tonami.

Zann nawet nie wiedział o tym, że jego przerażająca twórczość była słyszalna na naszym Wydziale, nie miał pojęcia o przebiciach na kolumnach przy stołówce, które pochłonęły umysł Kebabowego Sułtana Uczelni. Nie spostrzegł nawet kiedy w jego gabinecie pojawiła się dziwna miniaturowa konstrukcja z radioteleskopową anteną. Nie on ją stworzył, powiedział zdecydowanie, a brał ją za jedną z dziwnych konstrukcji tworzonych czasem przez dział techniczny, który często zmuszony był opierać swoje działanie na karkołomnych prowizorkach, które następnie porzucał celem biegu ku kolejnym zadaniom. Zresztą, jak przyznał spoglądając na mnie płonącymi szaleństwem oczami, nie przejmował się nią zupełnie. Musiał grać, ciągle grać, bez odpoczynku i wytchnienia, służyć sztuce i, zarazem, z pewnością poprawiać byt odległej Pani Bibliotekarki.

Muzyka doktora Ericha Zanna musiała płynąć w świat.

Słuchałem jego wywodu w absolutnym przerażeniu. Oto przede mną stał człowiek absolutnie upadły. Nie tylko humanista, co samo w sobie musiało być piekłem, ale całkowicie owładnięty obsesją



swojego humanizmu, nie widzący absolutnie nic poza nim, za nic mający innych i otaczającą go rzeczywistość.

Próbowałem wytłumaczyć mojemu oponentowi, że oto nadszedł kres i pora wrócić do rzeczywistości, porzucić złowrogą melodię i stać się na powrót nudnym i pozbawionym perspektyw nie-fizykiem zajmującym się nikomu niepotrzebnymi rzeczami, ale musiałem, w poruszeniu, użyć jakichś niezbyt fortunnych słów. Grzecznościowy doktor Erich Zann spojrział na mnie bowiem wzrokiem całkowicie szalonym, krzyknął wielkim głosem coś o potędze sztuki...

I zaczął grać.

23.

Są chwile, kiedy człowiek niesiony nagłą determinacją jest w stanie dokonać cudów. Znaną są przypadki, gdy ranni przechodzą wiele kilometrów w poszukiwaniu pomocy lub gdy adrenalina daje komuś nadludzką niemal siłę lub szybkość. Momenty, kiedy, gdy sytuacja tego wymaga, stajemy się nadludźmi.

Kiedy tylko Erich Zann uniósł skrzypce, dla mnie nastąpiła właśnie taka chwila.

Niesiony nieznaną mi naprawdą od lat sprawnością, z bojowym okrzykiem jednym ruchem porwałem z biurka doktora kanapkę, wcisnąłem sobie do uszu zwinięte plasterki sera i jednym skokiem byłem już przy oknie, w które uderzyłem pełnym rozpędem. Tu jednak mój plan dramatycznej ucieczki nieco zawiódł, gdyż nie doceniłem solidnych potrójnych szyb, jakie wprawiano na Akademii Muzycznej. Odbiłem się więc niczym piłka, zatoczyłem na kilka stosów książek, wyrzuciłem je rozrzucając podręczniki po podłodze i, chcąc ponowić moje natarcie, skoczyłem znów, lecz niecelnie - ostatecznie uderzywszy się w kolano o kant biurka.

Ostry, gwałtowny ból oprzytomnił mnie nieco, pozwalając memu błyskotliwemu umysłowi przeskoczyć na nieco mniej widowiskowe, lecz sensowniejsze tory planowania. Poderwałem się więc znów, minąłem Zanna, który już rozpoczynał swą straszliwą grę, kopnąłem drzwi - a potem otwarłem je przy pomocy klamki - i wypadłem na korytarz, by odbiec nim pędem, utykając na nadal bolące kolano. Nie zatrzymywałem się w szybkim, nawet jeśli dość pokracznym przez kuśtykanie, biegu, dopóki nie znalazłem się ponownie na swoim własnym wydziale.

Tam dopiero nadeszła chwila na jakieś dłuższe przemyślenia. Moja wiedza o problemie była chyba niemal kompletna. Znałem winnego, znałem jego motywację i znałem sposób, jakim podstępnie truł nasze umysły. Pozostało tylko znaleźć jakiś sposób zaradczy - choć było to spore „tylko” ponieważ, w fizyce (jak w życiu), tradycyjnie, znajdowanie rozwiązań jest na ogół o kilka rzędów trudniejsze niż znajdowanie problemów.

Zacząłem od zapewnienia sobie i innym bezpieczeństwa doraźnego. Nie wiem, co studenci i pozostali jeszcze na Wydziale pracownicy myśleli o mojej zablokowanej postaci z rozwianym włosiem i ostrzeżeniem przed złowrogą muzyką na ustach kuśtykającej przez korytarze wydziału i kolejno odłączającej trzeszczące głośniki. Spoglądali na mnie szeroko otwartymi oczyma i głośno coś mówili - zakładałem, że słowa pochwały, jeśli nie wobec mojej błyskotliwej diagnozy czy determinacji w obronie ich umysłów przed zagrożeniem, to chociaż może walki z hałasem. Niestety ser z kanapki Zanna nadal tkwiący mi w uszach dość skutecznie izolował mnie od wszelkich dźwięków.

Potem, nadal odprowadzany przez - z pewnością - pełne podziwu spojrzenia skierowałem się wprost ku pokojowi Banasia, zdecydowany zaangażować jego intelekt w plan ratunkowy nawet kosztem punktacji naszych artykułów - chodziło wszak o przetrwanie. Zastałem go, jak zwykle, u siebie. Pograżony w największorodakowaniu artykułów pozostawał - naturalnie - całkowicie nieświadomy

zachodzącej wokół niego naukowej apokalipsy. Kiedy jednak opowiedziałem mu o ogromie zagrożenia natychmiast zdecydował się pomóc – choć mam wrażenie raczej ze względu na to, że historia brzmiała dlań jak niezwykle ciekawy problem naukowy niż ponieważ realnie dostrzegał ziejący za nią niby czarna dziura problem.

Banaś po prostu taki był. Kilkakrotnie zresztą już odbiło się to Uczelni i jej bliższej i dalszej okolicy czkawką. Jego, przykładowo, twierdzenie o redukcji napięcia w trakcji tramwajowej doprowadziło do tego, że Włodarze Miasta całkowicie zrezygnowali z tego szlachetnego środka lokomocji, skazując mieszkańców na sześć (teraz już, jak pamiętacie, cztery) autobusy, a już o skutkach opublikowania jego artykułu „Szkodliwość zysku płynącego z piramid finansowych opartych na złocie – myślowy eksperyment” – nawet nie będę wspominał. Był jednak niewątpliwie naukowcem wybitnym, a to, iż jego prace bywały źle wykorzystywane – nie było wszak jego winą.

Banaś w każdym razie uważnie rozpisał założenia problemu, część, z przyzwyczajenia, na serwetkach, a następnie rozpoczął tworzenie modelu matematycznego, który mógłby go właściwie opisać. Spędził w tym trybie kilka godzin, skupiony nad swoimi notatkami, w milczeniu, co jakiś czas tylko przerywanym cichym pomrukiem, lub losowym wyrzucaniem z siebie nazw zmiennych to tryumfującym to znów pełnym rezygnacji tonem głosu.

Ja zaś czekałem – z nadzieją, ale i obawą. Co jakiś czas zerkałem tylko na korytarz, pilnując, by jakiś co śmielszy student nie podłączył znów zagładę niosącego głośnika i z lękiem przysłuchując się każdemu dźwiękowi dochodzącemu spoza pokoju.

Czas mijał, odmierzany stukaniem długopisu Banasia i szelestem kartek. Po niebie pędziły stalowe, zimowe chmury, wokół odległego budynku stołówki gromadził się nieświadomy tłum przyszłych ofiar Zanna, znęconych blaskiem i zapachami dobiegającymi z przyczepy Kebabowego Sułtana Uczelni, nieświadomej broni w ręku złowrogiego monstrum z Akademii Muzycznej. Wiedziałem, że z każdą chwilą kolejne ich zastępy pogrążą się w mroku, stracą skupienie na rzeczach istotnych i zajmą się – kiedy już, oczywiście, skończą placek z sałatkami i mięsem przygotowany w przyczepie – poezją i sztuką.

Banaś tymczasem pracował, co jakiś czas pociągając długi łyk z kubka, w którym dostarczałem mu kawę. Jego notatki pochłonęły już wszystkie serwetki, a nawet wyjechały na kalendarze z Największym z Rodaków. Mijający czas zdawał się zupełnie dla niego nie istnieć, podobnie zresztą jak i otoczenie. Szybkimi ruchami długopisu kreślił misterne konstrukcje uwag i lematów, zmienne ożywały na luźnych kartkach formując jasny i czysty, matematyczny opis zjawisk, płynęły przez równania propagacji i harmonii. Na ekranie jego komputera, który podpiął do sieci utworzonej na własne potrzeby przez Adiunkta Informatyki, przesuwały się równania o algebrze funkcji tonalnych. Świat zmieniał się delikatnie pod jego palcami, odsuwając się od chaosu, zyskując opis i reguły. Stawał się lepszy, jaśniejszy i bardziej czytelny.

Mogłem tylko patrzeć na to piękno z zachwytem i nadzieją, jak jasny promyk w ponure zimowe popołudnie.

Mijał czas, odmierzany kubkami kawy i stukotem długopisu o papier.

Wkrótce notatki Banasia pokrywały już kilkadziesiąt kartek, wynurzyło się z nich przynajmniej kilka twierdzeń, przynajmniej jedno potencjalnie przełomowe, ale rozwiązania naszego problemu nadal nie było widać.

Skończyła się kawa. Wszedłem jej szukać, lecz nie udało mi się to ani u nas, ani piętro wyżej, gdzie był ekspres dla Dyrekcji. Przekląłem zły los i już miałem wrócić, kiedy nagle zamarłem w niemal

zwierzęcym, całkowicie obezwładniającym przerażeniu.

Widziałem go wyraźnie przez okno w korytarzu, przez które pomiędzy jodłami otaczającymi Wydział dało się dostrzec skąpany w blasku kampus. Szedł, jakby zaklęty, poprzez typowo ojczyźniany pluchowo-szary krajobraz wczesnej zimy, równym spokojnym krokiem osoby, która całkowicie nie spodziewa się, jak jej marsz może mieć straszliwe następstwa. Ścieżką, wiodącą wprost w paszczę Iwa – jasno oświetloną i zachęcającą jak muchołapka zapachem i promocjami domenę Kebabowego Sułtana Uczelni.

Dyrektor Wydziału.

Chciałem się rzucić go powstrzymać, lecz bałem się – zwyczajnie bałem – wybiec na zewnątrz, gdzie być może już królowała muzyka Ericha Zanna. Podbiegłem tylko do okna oparłem dłonie o szybę i trwałem nieruchomo, patrząc jak sylwetka człowieka, który sam jeden dźwigał na plecach wydział, właśnie zmierza nieuchronnej zagładzie – i nic nie potrafiłem zrobić.

Podłamany rozpaczą i własną słabością, przekonany o zbliżającym się końcu, głodny i spragniony, zadzwoniłem do domu. Chciałem opisać małżonce moje zmagania, że jeszcze trwam w obłązionej twierdzy, ale nie wiem, jak sytuacja się skończy – oraz powiedzieć, że zapewne spóźnię się na kolację. Zrozumienia nie tylko nie znalazłem w ogóle, ale jeszcze i stamtąd czekał mnie cios – w postaci zachwytu zachowaniem zatrutego muzyką Prodziekana. Podobno mój kolega zaplanował już wyprawę do teatru i filharmonii oraz romantyczny rejs, który ma nadać mu weny twórczej do tworzenia poematu. Nazywał swą własną połowicę „muzą” i wygłaszał niezgrabne, lecz szczere sonety na jej cześć. Tworzył również mural i choć ten na razie stanowił on tylko burą plamę – obie panie były zachwycone włożonym wysiłkiem. Wbity we mnie nóż wieści o poległym koledze ma żona przekręciła w ranie informując, że powinienem brać z niego przykład.

Niemal słyszałem rezonujący z jej głosem złowrogi szept Ericha Zanna nawołującego mnie do ostatecznego poddania się nieuchronnemu.

Rzuciłem telefon i pobiegłem po schodach na dół, sprawdzić, jak idzie Banasiowi – i wtedy czekało mnie ostatecznie, najgorsze, uderzenie. Pokój Banasia był całkiem pusty. Zniknęła część notatek, resztę rozwiewał ciąg powietrza idący z otwartej płyty podwieszanego sufitu. Zniknęła większość sera, zastąpiona niewielką kartką zapisaną nieznanymi mi znakami azjatyckiego na oko alfabetu. Dostrzegłem też, że z otworu zwieszają się długie sznurki z miniaturowymi uprzężami i przerażająca sylwetka umieszczonego tam głośnika!

Szybko zatkałem uszy i rozejrzałem się po pokoju – a kiedy mój wzrok padł na część pozostawionych notatek straciłem wszelką nadzieję.

Kolejne twierdzenia i opisy w nim były bowiem pisane trzynastozgłoskowcem.

W tym momencie świat nie mógłby już być cięższy. Wiedziałem bowiem że ostatni bastion upadł. Banaś, ugodzony podstępnie przez umieszczony pod podwieszanym sufitem głośnik poległ. Nie było już nadziei.

Dlatego, gdy usłyszałem kroki powracającego doktora i zobaczyłem jego sylwetkę niosącą niezgrabnie zdobyte skądś stare skrzypce – nie miałem już w sobie żadnego ducha walki, by spróbować przemówić mu do rozsądku czy choćby odebrać zabójczy instrument. Po prostu rzuciłem się do ucieczki.

Niesiony strachem wyminąłem Banasia i popędziłem korytarzem z chyżością, jakiej nie spodziewałbym się po sobie jeszcze kilka dni temu, a która, po ucieczce z Kebabowego Sułtanatu i później z kazamatów Akademii Muzycznej, zdawała się niemal w ogóle niezaskakująca. Pokonując po dwa schody wpadłem na piętro, a stamtąd do łącznika, który prowadził do sąsiadującego z nami Wydziału Chemii. Wyminąłem woźnego, przebiłem się przez opatrzone ostrzeżeniami „Zakaz wstępu” i „Niebezpieczeństwo” drzwi, co prawda wyposażone w nowoczesny czytnik na magnetyczne karty, ale zupełnie pozbawione zarówno zamka i klamki – i wpadłem na ich fabryczną halę, pomiędzy huczące urządzenia i agregaty. Tam dopiero zwolniłem.

Wiedziałem, że nie byłem tu całkiem bezpieczny – Banaś wszakże mógł ruszyć za mną w pościg – ale dopóki nie dopadnie mnie bezpośrednio, panujący tu zgiełk dość szczelnie izolował mnie od przypadkowego wystawienia na muzyczny patogen. Chwilowo więc mogłem uznać, że jestem w sytuacji odrobinę lepszej.

Nie wiedziałem jednak zupełnie, co zrobić.

Na wszelki wypadek przemieściłem się głębiej pomiędzy urządzenia, krocząc wąskimi, wyłożonymi metalowymi kratami, ścieżkami. Był to dla mnie świat zupełnie nowy i zupełnie niepodobny do czystego, eleganckiego i pozbawionego duszących zapachów Wydziału Fizyki. Szybko odkryłem, że sami chemicy chyba nie w pełni korzystali z hali od czasów jej świetności. O ile jeszcze agregaty i kadzie, w pobliżu teoretycznie zabezpieczonego wejścia, wyraźnie były w stałym użytku, tu, w głębi wielkiego pomieszczenia, znajdowały się urządzenia znacznie starsze. Wymalowano na nich napisy w alfabecie zza wschodniej granicy, a gdzieś tam rozwieszono duże plakaty informujące o konieczności noszenia masek i najlepiej skafandrów kosmicznych, ale jeśli już te naprawdę były niedostępne, to przynajmniej gumowych fartuchów. Wszędzie dookoła stale rozlegało się miarowe dudnienie, jakby wszystkie te maszyny nadal pracowały – nieprzerwanie od ponad czterech dekad tworząc nieznanne chemikalia. Ja zaś poszedłem dalej i dalej, w głąb hali licząc, że panujący tu hałas izoluje mnie od straszliwej muzyki, którą Banaś ani chybi zaczął już grać, ku zgubie nauki Ojczyzny.

Nagle jednak zatrzymałem się jak wmurowany, spoglądając na przedziwną konstrukcję, która wznosiła się tuż przede mną, dokładnie pomiędzy dwoma potężnymi kotłami z nieprzyjemnie znajomymi znakami ostrzegawczymi. Był to niemal mojej wysokości budynek w miniaturze, złożony z wielką pieczołowitością z kawałków elektroniki, pojedynczych kółek od krzesel, drutów, kabli, opakowań z kawy i wszystkiego, co dało się znaleźć w instytucie. Niewielkie okna prowadziły do wnętrza, gdzie jaśniały diody i wznosiły się malutkie meble, pomiędzy kilkoma wieżami wznoszącymi się z konstrukcji głównej ciągnęły się łączniki z przezroczystych plastikowych rurek. W każdą stronę z budowli odchodziły kable, prowadząc aż pod sufit, gdzie łączyły się z systemem zasilania Wydziału, przy niektórych z nich ciągnęły się długie przeznaczone dla małych stóp drabiny. Na jednej ze ścian widniał obraz Azjatyckiego Lidera, ten sam, który zniknął z porzuconego gabinetu Pana Zenona.

I wszędzie były myszy. Biegały w łącznikach, wspinały się po drabinkach, obsługiwały niewielkie konsole w pomieszczeniach wyglądających jak sterownie. I teraz również – wszystkie patrzyły na mnie zimnymi, wrogimi spojrzeniami.

Tu moja historia dobiega końca, a zaczyna się ponura teraźniejszość – pośród wysokich kadzi hali wydziału chemii naprzeciwko przedziwnej, zaludnionej wyłącznie przez gryzonie konstrukcji. I w momencie – zbyt już niestety późnego – olśnienia.

Dopiero teraz bowiem w pełni rozumiem całą sytuację. O ile Pan Zenon odszedł, niefortunnie aresztowany, to jego zwierzątka, które przez długie lata żyły na wydziale, kradły krakersy i przepisywały prace Banasia spod podwieszanego sufitu jego gabinetu – pozostały na Wydziale. Zmienione przez lata wizyt w kazamatach hali Wydziału Chemii, zorganizowane i przebiegłe, były

przepełnione chęcią zemsty za odejście ich opiekuna. Opętały nieszczęsnego Ericha Zanna, podsunęły mu modyfikacje jego muzyki, czyniąc z niej straszliwą broń, zadbały nawet o głośniki. Ich straszliwa humanistyczna zemsta pochłonęła Prodziekana, Adiunkta i Administratora Sieci, uderzyła w niewinnego Kebabowego Sułtana – a wreszcie pożarła i Banasia. A teraz – jedynym świadkiem tego wszystkiego, jedyną osobą, która wiedziała o ich podstępnych knowaniach – jestem ja! Muszę uciec, uświadomiłem sobie, muszę zawiadomić wszystkich, wszyscy muszą się dowiedzieć! Palicho, że ja zgine, ale przecież cały wydział, inne wydziały...

Nagle maszyny milkną, wszystkie jednocześnie i w hali zapada cisza. Chroniący mnie dźwiękowy mur huków, zgrzytów niesmarowanych zdrową warstwą dotacji urzędzeń, charakterystycznych świstów upuszczanego przez nieszczelne zawory Okropnie Drogiego Gazu i postukiwań zaworów znika. Pozostaję odsłonięty i całkiem pozbawiony ochrony.

Z dala zaczyna do mnie docierać dźwięk skrzypiec. Sięgam gwałtownie ku zatyczkom do uszu, ale oba kawałki sera nie są tam, gdzie być powinny, pod moją dłoń. Dostrzegam złośliwe błyski w oczach umykających ku patchworkowej konstrukcji myszy w charakterystycznych zielonych mundurach Małego Azjatyckiego Autorytaryzmu, zdaje się, że zawieszony gdzieś na ścianie portret uśmiechniętego Azjaty szczerzy się do mnie zwycięsko. Mój ser szybko znika we wnętrzu mysiego królestwa, a ja wiem, że mój czas ucieka.

Ale przecież zaraz – nie wierzę, że ta muzyka, te potworne zgrzyty tylko z grubsza przypominające dźwięk skrzypiec mogły być tym co stworzył Zann, co opisywano jako piękne. Nie wierzę, że był on w stanie obudzić miłość do jakiegokolwiek rzeczy, a już na pewno nie do niczego w jakikolwiek powiązanego z dźwiękiem. Chwytam się za uszy, by osłonić je przed potwornym rzępoleniem – ale wiem też, że i same myszy zdają się zaskoczone i przerażone. W jednej chwili cała konstrukcja ożywa, kiedy wszystkie gryzonie nagle wybiegają z wnętrza by rzucić się na kable i drabinki i w kilku mgnieniach oka zniknąć za pękami podsufitowych kabli i pomiędzy kadziami.

Jestem bezpieczny.

\*\*\*

Jak się później okazało, ocaliła mnie muzyczna niekompetencja Banasia. Choć został on całkowicie zdominowany przez zdradziecko puszczoną mu przez głośnik muzykę Ericha Zanna i był w pełni przekonany, że powinien dalej ją rozpowszechniać – nie tylko nie umiał grać na skrzypcach, ale w ogóle opatrność poskąpiła mu jakiegokolwiek talentu muzycznego. Jego potworne zgrzytanie nie było w stanie zatruć nikogo – a wręcz przeciwnie. Każdy, kto usłyszał grę Banasia, natychmiast leczył się z mysiej zarazy i na powrót stawał się sobą.

Kiedy więc mój współpracownik sam oprzytomniał, natychmiast zorientował się w zbawiennym wpływie swojego antytalentu na innych. Wcale też nie przestał grać. Odwiedził, cały czas niemiłosiernie kalecząc swój instrument, zarówno wszystkie gabinety, jak i domenę Kebabowego Sułtana, wreszcie zahaczając o dom Prodziekana, a nawet nagrał wydawany przez swoje skrzypce odgłos – niewątpliwie konania – i wysłał go zarówno do Administratora Sieci jak i Adiunkta Informatyki. Wkrótce wszyscy mogliśmy na powrót cieszyć się normalnością.

Prawie wszyscy, naturalnie. Nie udało się dopaść żadnej ze zbiegłych myszy Pana Zenona. Przebiegłe gryzonie jakby zapadły się pod ziemię, a gdy szukając ich, wróciliśmy znów do hali Wydziału Chemii – nie znaleźliśmy ani dziwnej konstrukcji, ani żadnego śladu ich istnienia. Nagły powrót do zdrowia niekoniecznie ucieszył małżonkę Prodziekana ani Panią Bibliotekarkę, a kiedy i moja połowica usłyszała, że jestem bezpieczny, wcale nie wyglądała na zadowoloną. Zupełnie nie wiedziałem, czemu.

Ale przecież - to były tylko drobiazgi. Teraz, kiedy nie byliśmy już zagrożeni szaleństwem Ericha Zanna, nie staliśmy się szaleńcami w służbie humanizmowi i zachowaliśmy zdrowy rozsądek - musieliśmy brać się do pracy. W końcu cała ta sprawa przysporzyła nam niemałych zaległości. Trzeba było nadrabiać w te pędy, badać, ciągle badać, bez odpoczynku i wytchnienia, służyć nauce i zarazem z pewnością poprawiać byt całej ludzkości.

KONIEC

*Michał Cholewa*